Lubelski Lafcadio

Benedykt Krówka: „Jak oceniam swój czyn? Już go oceniłem bardzo wcześnie, ale wtedy było za późno. Trudno się było wycofać po wejściu do mieszkania, już nie można było. Kobieta została przez nas napadnięta i człowiek brnie dalej".

Jak dzielić fundusz spożycia

Ryszard Bączek: „Słuszny wydaje się pogląd, że fundusz spożycia zbiorowego winien w większym niż dotychczas stopniu służyć grupom społecznym o najniższych dochodach".

Akcja w Pohulance

Leszek Siemion: „Któryś z partyzantów rozwalił właśnie drzwi do sąsiadującego z kantorem magazynku, w którym między innymi rzeczami odkrył skrzynki z kontyngentową wódką".

Kaleka z Przewłoki

Jerzy Dostatni: „Drogą (...) Rzędzian wiózł związanego Bohuna. Byłoby rzeczą piękną i społecznie słuszną, gdyby tą samą drogą wysłannik prezesa ZUS wywiózł spętaną biurokrację".

Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 7 V 1972 Nr 10 (495) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

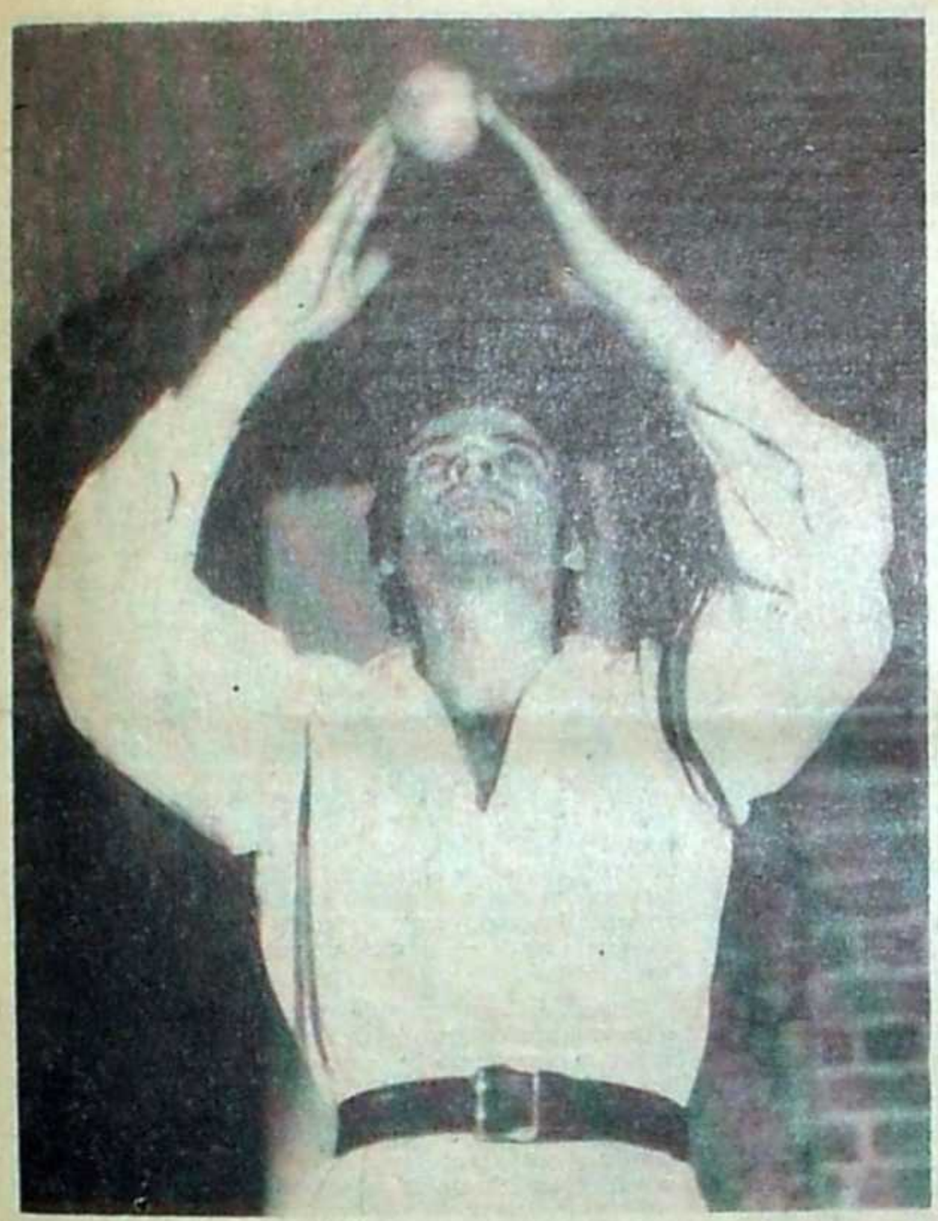

Kazimierz Borowiec w monodramie „A jak królem, a jak katem będziesz" (v. recenzja M. Bechczyc-Rudnickiej na str. 8).

Fot. St. Porowski

Towarzyszka snów

Egon Naganowski

FASCYNACJA

MARTA, zdolna malarka, uczennica Lovisa Corintha, była o blisko siedem lat starsza od Musila i do chwili zetknięcia się z nim zdołała zebrać sporo doświadczeń życiowych. Jak ustalił Karl Dinklage, pochodziła z domu berlińskiego kupca żydowskiego Heimanna i wyszła po raz pierwszy za mąż za kolegę-malarza, Fritza Alexandra. Związek ten nie trwał długo, bo młody malarz niebawem umarł we Florencji. Wtedy Marta pozostała we Włoszech i tam znalazła sobie następnego męża, rzymskiego kupca Enrico Marcovaldiego, któremu urodziła syna Gaetano i córeczkę Anninę. Ponieważ jednak małżeństwo malarki z człowiekiem interesu nie okazało się szczęśliwe, zabrała dzieci i wróciła z nimi do Berlina, gdzie po śmierci rodziców zamieszkała u siostry, żony właściciela salonu sztuki.

Kiedy Musil w lutym lub marcu 1907 roku poznał Martę, był od razu tak oczarowany, że po kilku miesiącach wybrał się z nią i jej dziećmi na letnie wakacje nad Bałtykiem, i potem oficjalnie przedstawiał cudzą żonę jako swoją narzeczoną. Na pierwszy rzut oka trudno zrozumieć, czym ta nie najmłodsza kobieta mogła zafascynować pisarza. Według zgodnego świadectwa Franza Theodora Csokora i Oskara Maurusa Fontany, którzy ją w późniejszym okresie spotykali w towarzystwie Musila i z którymi rozmawiałem na jej temat, Marta nie była ani ładna (również portret z 1900 roku i fotografie z różnych czasów nie pozostawiają co do tego złudzeń, miała tylko niebrzydkie oczy), ani elegancka, ani rozmowna, ani szczególnie ujmująca w obejściu.

Robiła wrażenie jeszcze bardziej zamkniętej w sobie i powściągliwej, niż sam Musil. Csokor opowiadał mi też, że Franz Blei, nasłuchawszy się z ust pisarza gorących hymnów pochwalnych na cześć „narzeczonej", był w najwyższym stopniu zdumiony, kiedy zamiast zapowiadanego „ósmego cudu świata" zobaczył nieatrakcyjną, „brzydką kobietę" o krótko obciętych włosach, które się wonczas wydawały horrendalne. Dopiero przy bliższej znajomości odkrywało się jej główne zalety: życiową mądrość, brak przesądów, zdolność do poświęceń, rozwinięty zmysł opiekuńczy i podkreślaną przez Musila dużą intuicję w sprawach artystycznych, zarówno plastycznych jak i literackich. Była przecież malarką, bodajże naprawdę zdolną (na co wskazuje m. in. zachowany szkic głowy pisarza), i jeżeli z biegiem lat zarzuciła ołówek i pędzel, to zrobiła to jedynie dla męża, który jako egocentryk nie znosił, by ktoś obok niego dążył do swoich własnych twórczych celów.

Na początku współżycia z Musilem Marta jednak jeszcze dosyć pilnie pracowała, przy czym obok portretów malowała bardzo erotycznie ujęte akty. Również jej pamiętnik, znajdujący się w Rzymie, świadczy o silnej zmysłowości autorki, która przed poznaniem pisarza miewała, zdaje się, różne pozamałżeńskie przygody miłosne. I ta zmysłowość, cechująca ją podobno do późnej starości, zdaniem przyjaciela Musilów z lat szwajcarskich, Arnima Kessera, sprawiała, że Marta mimo niewątpliwej brzydoty była pociągająca, że miała w sobie coś „parnego, niepokojącego, zamglonego", co działało na ludzi wrażliwych na seksualne bodźce. To jednak wszystkiego nie tłumaczy. Nie tłumaczy całej fascynacji Musila, która płynęła z głębszych, głębiej ukrytych źródeł.

„KOCHAM WŁASNIE TWÓJ WIEK"

W okresie po zetknięciu się z Martą pisarz zanotował w *Dziennikach*: „Zimna mgła opadła jak kurtyna i zaczyna się nowy akt... Często, kiedy skręcam przez róg ulicy, wydaje mi się obecnie, że widzę ciebie otuloną w futro i owianą chłodem. Wtedy ogarnia mnie taki łagodny i cichy nastrój, jak gdybym zanurzył rękę w miękkim, roztopionym śniegu. Oto obrazy, które teraz we mnie powstają i dzięki nim, dzięki tobie, lubię ten okres..." Mimo że autor nie wspomina o Marcie, niewątpliwie o nią tu chodzi. I jasne jest też, z kim mu się ona kojarzy, może zupełnie nieświadomie.

Ciąg dalszy na str. 6—9

Kadry ekonomiczne

Ilość czy jakość?

Romuald Poliński

PRZED kadrą ekonomistów stoją obecnie takie zadania, jak zapewnienie racjonalności ogólnospołecznej planowaniu gospodarczemu poprzez oparcie techniki planowania na naukowych podstawach wykluczających subiektywizm i woluntaryzm, doskonalenie rachunku ekonomicznego jako głównej metody i kryterium dokonywania racjonalnych wyborów ekonomicznych w przedsiębiorstwach i innych organizacjach gospodarczych, oraz stosowanie instrumentów ekonomicznych jako środka realizacji celów planu.

Nowy system funkcjonowania gospodarki narodowej, który zostanie wprowadzony około 1975 r., określi faktyczne wymagania co do poziomu i zakresu kwalifikacji kadry ekonomistów. Już dziś wiadomo, że gospodarka uspołeczniona będzie potrzebowała przede wszystkim wysoko kwalifikowanych ekonomistów o tzw. szerokim profilu kształcenia i podstawach określonej specjalizacji, analityków zjawisk społecznych i stricte gospodarczych, umiejących przygotowywać przesłanki do samodzielnego podejmowania decyzji ekonomicznych, rozumiejących społeczne implikacje współczesnych tendencji gospodarczych i zajmujących wobec nich postawę aktywną i twórczą. Współczesny ekonomista powinien posiadać zdolności i skłonności myślenia koncepcyjnego i korzystania z aktualnego dorobku nauk ekonomicznych i dziedzin pokrewnych.

Scentralizowany system planowania i zarządzania gospodarką narodową stwarzał zapotrzebowanie na ekonomistów dwojakiego typu. Pierwszy typ obejmował wąską liczebnie kadrę wysoko kwalifikowanych specjalistów, analityków zjawisk gospodarczych, opracowujących przesłanki do podejmowania centralnych decyzji społeczno - gospodarczych. Drugi typ to bardzo liczna rzesza ekonomistów wykonujących sformalizowane czynności planistyczne, kalkulacyjne, kontrolne, sprawozdawcze, ewidencyjne itp., lub uzasadniających przedsięwzięcia techniczne od strony „ekonomicznej", a więc pozbawionych możliwości działania koncepcyjnego i wpływu na kształtowanie rzeczywistości społeczno - gospodarczej, której powinna być podporządkowana sama produkcja i technika. Tak więc przeważająca część ekonomistów została zepchnięta w systemie rachunku naturalnego i bezpośredniego zarządzania na podrzędne pozycje. Taki status społeczno - za-

Dokończenie na str. 3

W kolejce po prasę

Ireneusz J. Kamiński

PEWNA bogata wdowa francuska, zorientowana szczególnie dobrze w problematyce pisania na maszynie, przy której dojrzał ją nieszczęsny Cino del Duc, magnat prasowy, rychło mąż maszynistki, a następnie nieboszczyk — zlikwidowała po jego śmierci dość popularny dziennik „Paris Jour", bo nie podobali jej się redaktorzy pisma, czytający nie wiadomo po co — zdaniem wdowy — depesze agencyjne przynoszące informacje ze świata. Dziennikarze przeklinali więc wdowę, czego nie należy popierać, ponieważ dziejową rolą kobiet jest nokautowanie racjonalnego porządku rzeczywistości. Zdarzyło to się zresztą we Francji, ojczyźnie Alfreda Jarry, Artaud, przybranej matce Ionesco...

Głosu wdów w prasie polskiej nie słychać, od lat bodaj dwudziestu nie zlikwidowano żadnego dziennika, tylko wśród tygodników zdarzały się fuzje, strzelające nowymi tytułami, czasami nawet treścią. Ogólny nakład prasy rośnie z roku na rok, pojawiają się nowe wydawnictwa. Ponieważ jednak cień Witkacego krąży nad nami od lat międzywojennych, w ostatnich anektując i zagranicę, czym słusznie chlubimy się na łamach „Życia Literackiego" i „Twórczości" — prasy w Polsce się nie sprzedaje.

Brzmi to nieprawdopodobnie, jako że za posiadanie „Kuriera Lu-

Dokończenie na str. 10

teatrnn.pl

Kazimierz Janczykowski

Zasłużony Nauczyciel PRL, wieloletni wychowawca młodzieży Liceum Ogólnokształcącego im. S. Czarnieckiego w Chełmie, niestrudzony działacz na polu kultury, turystyki i krajoznawstwa, popularyzator TWP, założyciel i b. kustosz Muzeum Ziemi Chełmskiej, Zasłużony dla miasta Chełma, b. członek Powiatowej i Miejskiej Rady Narodowej w Chełmie, odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Złotą Odznaką PTTK, Medalem Dziesięciolecia Polski Ludowej i in. zmarł nagle w Chełmie 15 kwietnia 1972 roku w wieku 84 lat

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI!

Kolegium i zespół redakcyjny „Kameny"
Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Chełmskiej

KULTURA 1972

Literatura

● Zofia Bystrzycka ukończyła współczesną powieść psychologiczno-społeczną „Trójwidzenie". Jest to historia działacza, który mimo poczucia osobistej krzywdy w imię dobra społeczeństwa musi „zejść z areny".

● Roman Bratny ukończył powieść „Losy" i złożył ją w Czytelniku. Jest to powieść współczesna o charakterze epickim, obejmująca cały okres niepodległości aż po dni współczesne. Nakładem PIW ma się ponadto ukazać wznowienie „Kolumbów".

● Żyjący w XVI wieku biskup warmiński Marcin Kromer napisał historię Szwecji za panowania króla Eryka XIV zwanego Szalonym. Podobno jest to bardzo dobry kryminał, gdzie fikcja miesza się z rzeczywistością, a trup pada gęsto, język zaś jest łatwy i przystępny. Specjaliści domagają się wydania tej historii.

● W Szwecji ukaże się w tym roku antologia poezji polskiej ostatniego półwiecza, a w Jugosławii tłumaczenie powieści Jarosława Iwaszkiewicza „Cienie". Francuska firma Gallimard wydała już przekład „Austerii" Juliana Stryjkowskiego.

● W Wilnie ukazał się w wydaniu książkowym poemat Atanasa Drilinga poświęcony bohaterowi Komuny Paryskiej, gen. Waleremu Wróblewskiemu.

● Powieść Hemingwaya „Islands in the Stream", wydana zaledwie przed dwoma laty w USA, jest tłumaczona przez Bronisława Zielińskiego.

● Przed 20 laty zmarł wybitny pisarz węgierski Ferenc Molnár. U nas znany jest głównie jako autor „Chłopców z Placu Broni", ponadto przetłumaczono na język polski jeszcze „Ich troje".

● W Paryżu ukazał się debiutancki tomik poezji znakomitego plastyka — Jean Effela. Jest to poetycka adaptacja legend Bretanii. Krytycy mają do autora zasadniczą pretensję: dlaczego tak długo ukrywał swój poetycki talent.

● „Sytuacja bytowa pisarzy starszego pokolenia w NRF jest zatrważająca. Zaledwie trzech pisarzy na dziesięciu posiada telewizory, jeden — lodówkę. Większość nie ma najpotrzebniejszych do życia sprzętów czy umeblowania" — pisze Angelika Mechtel w książce „Starzy pisarze w NRF".

● Bestsellerem na rynku angielskim okazała się książka E. L. Doctorowa „Księga Daniela", której akcja rozgrywa się w okresie maccarthyzmu. Sygnałem do jej napisania była tragiczna sprawa Rosenbergów.

Teatr

● Teatr Narodowy w Warszawie wystąpił z premierą przedstawienia według „Procesu" Franza Kafki, w adaptacji i reżyserii Adama Hanuszkiewicza. W roli głównej Jerzy Turek.

● Monodram przyciąga coraz większą liczbę aktorów. Taki spektakl przygotowuje również Wojciech Rajewski z warszawskiego Teatru Ludowego. Monodram będzie oparty na głośnych „Przygodach dobrego wojaka Szwejka".

● Warszawski teatr satyryczny „Syrena" występował w ZSRR z rewią muzyczną „Nasze szaleństwo" według scenariusza Gozdawy i Stępnia.

● Od 18 lat bez przerwy przy oddziale ZNP w Kwidzyniu działa amatorski zespół teatralny, założony i kierowany przez Stanisława Borowieckiego. Zespół ma w programie 19 pełnospektaklowych sztuk, dał dotąd ponad 700 przedstawień.

● W teatrze miejskim w Szombathei na Węgrzech odbyła się światowa prapremiera sztuki W. A. Mozarta „Tomos król Egiptu". Utwór, napisany przez młodocianego jeszcze kompozytora, łączy w sobie elementy dramatu, opery i baletu.

● W Paryżu rozpoczął się tegoroczny sezon w Teatrze Narodów. Repertuar obejmuje przede wszystkim utwory klasyczne. Aż do listopada zespoły narodowe występować będą na kilku scenach stolicy Francji.

Sztuka

● Po trzydniowych obradach walnego zjazdu Związku Polskich Artystów Plastyków w Poznaniu prezesem Zarządu Głównego został wybrany J. Kaczmarski z Warszawy, dotychczasowy przewodniczący sekcji malarstwa.

● Na odbudowę zabytkowych budowli Wrocławia wydano już ponad pół miliarda złotych. Do remontu pozostało tylko 30 zabytkowych kamienic.

● W Kopenhadze odbyła się wystawa kilkudziesięciu dzieł krakowskich plastyków. Dzieła te są darem twórców dla Polonii duńskiej.

Muzyka

● Po Poznaniu, Warszawie i Gliwicach obecnie na scenie operowej wystawiono głośny musical „Człowiek z la Manczy". W Nowym Jorku musical ten w ciągu 10 lat był grany 2 tys. razy, bijąc w ten sposób „My fair lady", który tę samą ilość przedstawień osiągnął w ciągu 20 lat.

● Frank Sinatra przed rokiem wycofał się oficjalnie z życia artystycznego, obecnie jednak wyraził zgodę na zagranie roli pilota w ekranizacji „Małego księcia" Exupery'ego. Będzie tam śpiewał 12 piosenek napisanych specjalnie dla niego.

● Klub Studentów Wybrzeża „Żak" reaktywował miesięczne koncerty „Jazz w filharmonii". Występują najlepsze zespoły krajowe, instrumentaliści i wokaliści krajowi jazzu tradycyjnego i modern.

● W 1904 r. w Warszawie, a poprzednio w kilku innych krajach, grano operę poświęconą Fryderykowi Chopinowi pt. „Chopin", której twórcą był kompozytor włoski Giacomo Orefice. Sądzono, że partytura zaginęła, okazuje się jednak, że posiada ją syn kompozytora, inż. Alberto Orefice, ożeniony z Polką. Ma ją wystawić opera w Brukseli, interesuje się nią także Opera Wrocławska.

Film

● Ludwik Perski, realizator filmu o Foggu „Sentymentalny pan", pragnie następny utwór poświęcić przedwcześnie zmarłej znakomitej skrzypaczce i kompozytorce Grażynie Bacewicz.

● W drugiej połowie czerwca odbędzie się w Gliwicach I ogólnopolski festiwal amatorskich filmów jednominutowych.

● Na festiwalu filmów telewizyjnych w Monte Carlo pierwszą nagrodę tzw. Złotą Nimfę zdobył serial o życiu i twórczości Leonarda da Vinci, nakręcony w koprodukcji hiszpańsko-francusko-włoskiej.

● Włoski producent filmowy zamierza zekranizować powieść „Claudia Porticelli — kochanka kardynała", której autorem jest — Benito Mussolini. Dyktator włoski napisał ją w latach 1909—1910, była ona publikowana w odcinkach, ale potem Mussolini nie lubił o niej wspominać i w oficjalnych życiorysach pomijano tę jego twórczość. Akcja powieści rozgrywa się w roku 1648.

● Frekwencja widzów w kinach brytyjskich wciąż spada i to w szybkim tempie. Przed dziesięciu laty w ciągu tygodnia notowano 13 milionów widzów, obecnie 4 miliony.

Różne

● V Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziem Górskich, który odbędzie się jesienią w Zakopanem, zyskał dach nad głową — organizatorzy wypożyczyli namiot cyrkowy, w którym pomieści się 2500 widzów. Polskę reprezentować będzie 6 zespołów, udział zapowiedziały także Anglia, Bułgaria, Francja i Norwegia, spodziewane są jeszcze dalsze zgłoszenia.

● Pierwszy w Zielonej Górze inkunabuł odnaleziono w tamtejszej bibliotece wojewódzkiej i miejskiej. Są to kazania papieża Leona I, wydane przed prawie 500 laty w Polsce zaledwie w ośmiu egzemplarzach. Ogółem w Polsce mamy 5000 inkunabułów.

● W Sopocie otwarto pierwsze w Polsce muzeum języka międzynarodowego esperanto.

● W okresie Oświecenia egzemplarz „Biblii" Wujka lub „Historii" Długosza, oczywiście pięknie wydane, kosztowały po 50 złotych — w tym samym czasie jeden wół kosztował 70 złotych.

Lubliniana

● Zespół „Ikers" z ZDK w Świdniku zdobył 3 miejsce (wśród 21 uczestników) na festiwalu muzyki młodzieżowej w rytmie ludowym, który odbył się w Miechowie. Ponadto wyróżnienia otrzymali solistka Ewa Kasprzyk i instruktor Zbigniew Zastawny.

● Staraniem RU ZSP na UMCS odbyło się seminarium filmowe, poświęcone Sergiuszowi Eisensteinowi, połączone z projekcją dwuseryjnego filmu „Iwan Groźny".

● Grand Prix (25 tys. zł) oraz nagrodę przewodniczącego Prezydium WRN w Przeglądzie Studenckich Zespołów Folklorystycznych „Terpsychora-72" zdobył Uczelniany Zespół Góralski „Skalni" z WSR w Krakowie.

● Drugą (po klubie przy Al. PKWN) młodzieżową wypożyczalnię książek otwarto w Młodzieżowym Domu Kultury „Pod akacją" w Lublinie. Księgozbiór obejmuje 3 tys. tomów.

● Marynarze statku „Lublin" przekazali już miastu patronackiemu sto wartościowych okazów sztuki afrykańskiej, które zbierają podczas rejsów do Afryki.

Kamena str. 2

Przed ratyfikacją

W BONN rozpoczęła się właśnie ostatnia runda debaty w sprawie ratyfikacji układów z ZSRR i Polską, runda rozstrzygająca nie tylko o samej ratyfikacji, ale także o tym, w jakim kierunku będzie następnie kroczyła NRF — jeżeli w wyniku odrzucenia wniosku ratyfikacyjnego dojdzie do nowych wyborów parlamentarnych.

Układy moskiewski i warszawski — przypomnijmy to raz jeszcze — nie stwarzają niczego nowego, nie dzielą i nie łączą nikogo, a jedynie potwierdzają istniejący faktycznie od chwili zakończenia wojny stan faktyczny w Europie, a także wszelkie związane z tym realia polityczne i gospodarcze, łącznie z pragnieniem większości ludzi, którzy chcą żyć jeżeli już nie w przyjaźni, to w każdym razie w pokoju.

Jednoznaczna treść układów mówi, że z jednej strony NRF, z drugiej ZSRR i Polska uznają istniejące obecnie granice, nienaruszalność terytorialną wszystkich państw europejskich, rezygnują ze stosowania siły i grożenia siłą. Układy te, tworząc międzynarodową zaporę przeciwko wszelkim zakusom rewizjonistów różnego kalibru i koloru, pragną wszechstronnego znormalizowania wzajemnych stosunków.

Jeżeli więc chadecja sprzeciwia się ratyfikacji to znaczy, że nie chce odprężenia, nie chce współpracy, nie chce rezygnacji z siły w stosunkach międzynarodowych, że w jej rozumieniu Szczecin, Wrocław, Poznań, a nawet Kraków, to „stare miasta niemieckie".

Przeprowadzane w ostatnich tygodniach badania opinii publicznej w NRF wykazywały niezmiennie, że za ratyfikacją układów wypowiada się 60—65 proc. obywateli tego kraju, a przeciwko do 30 proc. Wynika z tego, że CDU/CSU działa również przeciwko niewątpliwej większości własnego społeczeństwa.

Gdy obecny rząd zachodnioniemiecki przystąpił do rokowań ze Związkiem Radzieckim, kanclerz Brandt zaproponował opozycji, aby włączyła swych przedstawicieli do grupy niemieckich negocjatorów. Chadecja odmówiła, sama siebie przez to pozbawiając najlepszego źródła informacji, a także — jak wolno przypuszczać — wywierania takiego czy innego wpływu poprzez członków delegacji rządowej na przebieg rokowań. Potem CDU/CSU zaczęła wysuwać coraz to nowe wątpliwości, zarzuty, ostatnio zaś jej głównym argumentem stały się rzekomo autentyczne notatki z rokowań, prowadzonych półtora roku temu w Moskwie.

Opublikowanie przez dzienniki chadeckie owych rzekomych notatek Brandt nazwał *uprawianą bez sumienia grą interesami państwa*, a minister spraw zagranicznych Scheel *kryminalnym aktem fałszerstwa i naruszania zaufania*. Z oświadczenia rzecznika rządowego Ahlersa wynika jasno, że opublikowane notatki nie zawsze są zgodne z prawdziwymi, a ponadto wszystkie pochodzą z wczesnych stadiów rokowań, gdy negocjatorom chodziło przede wszystkim o badania wstępne wzajemnych stanowisk.

Jednym z najbardziej zaciekle atakowanych punktów układów, zwłaszcza moskiewskiego, jest zarzut chadecji, jakoby rząd NRF zgodził się „pod naciskiem Moskwy" na całkowitą rezygnację z możliwości zjednoczenia obu państw niemieckich w bliższej lub dalszej przyszłości, co jest sprzeczne z konstytucją NRF. I w takim razie, twierdzą chadecy, układy muszą zyskać większość dwóch trzecich w Bundestagu, albo też trzeba zmienić konstytucję — co na jedno wychodzi, gdyż i w takim przypadku wymagana jest większość dwóch trzecich.

Jeszcze w zimie zarówno instancje sądowe, jak później komisja prawna Bundestagu wypowiedziały się jednoznacznie, że układy nie są sprzeczne z konstytucją. To wyjaśnienie wprowadziło niemałe zamieszanie w szeregach chadecji, ale wkrótce wymyślono nowy „argument". Najpierw dopatrywano się rzekomych różnic w sformułowaniach tekstu układu z ZSRR w języku niemieckim a tym w języku rosyjskim. Potem przez karkołomną interpretację tekstu niemieckiego próbowano wykazać, że rząd Brandta mimo wszystko wyrzeka się na zawsze myśli zjednoczenia Niemiec.

Odpowiedź na oba te argumenty przyszła z zupełnie niespodziewanej strony. Najpierw ambasador radziecki w Bonn, Falin, przekazał ministrowi Scheelowi pisemne stwierdzenie, że teksty niemiecki i rosyjski układu są identyczne jeżeli chodzi o treść i nie powodują między zainteresowanymi żadnych różnic. Następnie w czasie debaty w Radzie Najwyższej ZSRR minister Gromyko oficjalnie przekazał deputowanym przyjęty przez rząd radziecki do wiadomości list rządu NRF z 12 sierpnia 1970 roku, którego istota polega na stwierdzeniu: *Układ niniejszy nie stoi w sprzeczności z politycznym celem Niemieckiej Republiki Federalnej, by działać w kierunku osiągnięcia w Europie stanu pokojowego, w którym naród niemiecki przez wolne samostanowienie odzyska swą jedność.*

Chadecy zachodnioniemieccy zapomnieli tu, że przez lat kilkanaście właśnie Związek Radziecki i właśnie NRD stale wzywały do zjednoczenia, oczywiście na warunkach równouprawnienia obu stron i swobodnie wypowiedzianej woli ludności obu krajów. I że nikt inny, jak właśnie chadecki rząd Adenauera odrzucał konsekwentnie te propozycje. Dziś podziały, właśnie z winy CDU/CSU, stały się tak głębokie, że o zjednoczeniu NRD i NRF realnie mówić nie można. Ale co będzie w dalekiej przyszłości, gdy zmienią się realia polityczne i społeczne, nikt nie jest w stanie powiedzieć. Okazuje się jednak, że ani rząd Brandta nie wyrzeka się na stałe tego celu, ani ZSRR czy NRD nie mówią — nigdy.

Podczas świąt wielkanocnych pół miliona zachodnioberlińczyków odwiedziło bez przeszkód stolicę NRD. Na własnym przykładzie przekonali się, jak może wyglądać nie tylko dzień świąteczny, gdy NRD uczyniła jednostronny gest dobrej woli, ale i zwykły dzień w warunkach, gdy stosunki między obu stronami zostaną na stałe uregulowane. To samo widoczne jest już w komunikacji telefonicznej i kolejowej pomiędzy Berlinem zachodnim a NRF, w układach gospodarczych itd. Podczas mniej lub więcej poufnych rozmów z przedstawicielami rządów trzech mocarstw zachodnich politycy chadeccy mogli przekonać się, że także w rozumieniu USA, Anglii i Francji czterostronne porozumienia ambasadorów w sprawie Berlina zachodniego będą mogły wejść w życie tylko w wypadku ratyfikacji obu układów wschodnich.

Wszystko to nie przekonuje polityków CDU/CSU. Twierdzą oni, że odrzucenie układów skłoni zarówno Moskwę jak i Warszawę do ustępstw, do wyrażenia zgody na „bardziej korzystne" dla NRF układy. Czy te „bardziej korzystne" układy miałyby przewidywać zgodę na przyłączenie Berlina zachodniego do NRF, na anulowanie granicy na Odrze i Nysie, na stosowanie siły w stosunkach międzynarodowych itd? Oczywisty nonsens. Sekretarz generalny KC KPZR Breżniew na Kongresie Radzieckich Związków Zawodowych, następnie minister Gromyko w Radzie Najwyższej ZSRR, a także premier Jaroszewicz na inauguracyjnej sesji Sejmu obecnej kadencji jasno stwierdzili, że o żadnym innym układzie mowy być nie może, że takie rozumowanie prowadzi do nowych napięć, albowiem przy najładniej nawet przygotowanym stole ponownych obrad zabraknie jednej strony — przedstawicieli Związku Radzieckiego i Polski. Ostatnio zaś I sekretarz KC SED Honecker podczas pobytu w Sofii wygłosił przemówienie, w którym m. in. oświadczył, że w celu ustanowienia normalnych stosunków pomiędzy państwami niemieckimi rząd NRD gotów jest do zawarcia *koniecznych porozumień wiążących z punktu widzenia prawa międzynarodowego* dając zarazem wyraz nadziei, że w ten sposób zapoczątkowany zostanie rozwój dobrosąsiedzkich stosunków w interesie obywateli obu państw i pokoju.

Tak więc NRF stoi przed pierwszą zasadniczą i niepowtarzalną szansą pełnego unormowania swoich stosunków z państwami socjalistycznymi, a także przyczynienia się do unormowania sytuacji w całej Europie. Z tej międzynarodowej i ogólnoludzkiej sprawy politycy CDU/CSU uczynili przedmiot rozgrywek partyjnych, widzą tylko interes własnej grupy. I niezależnie od tego, czy i jaką większością oba układy zostaną ratyfikowane przez Bundestag, zachodnioniemiecka chadecja nigdy nie będzie mogła powiedzieć, że wniosła pozytywny wkład w życie narodów, w zachowanie pokoju, w unormowanie stosunków międzynarodowych.

Jeszcze jednym tego dowodem był wniosek opozycji o tzw. konstruktywny wniosek nieufności dla rządu, zgłoszony rzekomo ze względów wewnętrznych, jakkolwiek wszyscy wiedzieli, że chodzi tu o zakamuflowane odrzucenie obu układów. Wniosek opozycji jednak nie uzyskał większości w Bundestagu, a po głosowaniu poseł Kienbaum, który wbrew poprzednim zapewnieniom głosował za wnioskiem opozycji, postanowił zrezygnować z mandatu. Można przypuszczać, że jego następca będzie bardziej zdyscyplinowany partyjnie i dzięki temu rząd Brandta w czasie głosowania nad ratyfikacją układów z ZSRR i Polską uzyska jeszcze bardziej wyraźną większość.

(d)

Lekcja Norwida

W DNIACH 17—18 marca br. odbyła się w Lublinie Ogólnopolska Studencka Sesja Norwidowska, zorganizowana przez Koło Naukowe Polonistów UMCS. W toku obrad wygłoszono 11 referatów.

Otwierający sesję referat Mariana Chranickiego (UJ) pt. „Odpowiednie dać rzeczy — słowo" stawiał tezę, że twórczość poetycka Norwida stanowi świadomą i konsekwentną próbę stworzenia mitu, czyli „zamkniętego, wtórnego systemu semiologicznego, funkcjonującego w świadomości zbiorowej jako pewien stosunek do rzeczywistości". Szkoda, że autor oparł się o kilka zaledwie utworów z cyklu „Vade-mecum", przez co wniosek finalny wydać się mógł zbyt ryzykowny.

Henryk Siewierski (UJ) dokonał próby odczytania wiersza Norwida „Klaskaniem mając obrzękłe prawice", dążąc do ekspozycji jego warstwy filozoficznej. Wyodrębnił zasadnicze momenty problematyki utworu: sytuację genezyjską, pogląd na sprawę przeszłości i przyszłości narodowej, pesymistyczną wizję funkcjonowania pojęć idealnych w rzeczywistości (przy czym żywo dyskutowana była przypisana Norwidowi koncepcja poety-Chrystusa), charakter artystycznej konkretyzacji analizy współczesności i pesymizm historiozoficzny.

Praca Zbigniewa Bauera (UJ) „Problematyka snu jako źródła poezji w lirykach Norwida" stawiała tezę o równoważności pojęć „język snów — język poezji" u Norwida. Poddając analizie szereg tekstów, autor zwrócił szczególną uwagę na metaforykę, którą określił jako „mistyczną" oraz na źródła inspirujące twórczość poety, tzn. religię i harmonię.

Obszerny i sumiennie przeprowadzony wywód „Obrazowanie we wczesnych lirykach Norwida" wypełnił pracę Andrzeja Gurbiela (WSP Kraków). Autor, zwracając uwagę na immanentną problematykę obrazowania, poddał szczegółowszemu oglądowi dobór przedstawień, zasadę kompozycji większych obrazowych całości, kolorystykę i personifikację.

Prozaicznej twórczości autora „Ad leones" poświęcone było wystąpieniu Jadwigi Szczęsny (UJ) „Rozwój gatunkowy w prozie Cypriana Norwida". Autorka dążyła do możliwie pełnego i całościowego ujęcia ewolucji genologicznej prozy Norwidowej.

Najciekawszą niewątpliwie propozycją pierwszego dnia sesji był esej Witolda Kiedacza (UJ) „Czechowicza hołd Norwidowi". Wychodząc poza ramy pojęcia epoki historycznoliterackiej, autor skoncentrował się na jednym fragmencie dziejów recepcji Norwida w dwudziestoleciu międzywojennym, jakim jest „dom świętego kazimierza" Józefa Czechowicza, rozpatrywany w kontekście biograficzno-genetycznym. Praca W. Kiedacza była interesującym i indywidualnym wyzyskaniem możliwości, jakie daje szkic monograficzny o Czechowiczu zawarty w „Rzeczy wyobraźni" Kazimierza Wyki, przy czym na szczególne podkreślenie zasługuje staranna i wieloaspektowa analiza struktury i problematyki „poetyckiego hołdu Norwidowi". Zwłaszcza interpretacja trudnego przecież tekstu świadczy o dużej wnikliwości i dobrze obranej, a konsekwentnie realizowanej postawie metodologicznej.

Referat „Charakter interpretacji muzycznych wiersy Norwida" Urszuli Kurtiak i Krzysztofa Piechowicza (UMK) badał walory muzyczne opracowanych przez Kurylewicza i Niemena liryków Norwida, ilustrując wywód prezentowaniem nagrań płytowych.

Dramaturgii Norwida poświęcony był w całości drugi dzień obrad. Zainaugurowała go Danuta Szczęsna (UW), próbując dokonać syntetycznego oglądu tekstów dramatycznych autora „Mikołaja-czystej" pod kątem „scenicznego widzenia świata".

Referat Ewy Kosowskiej (UMCS) „Struktury antropologiczne w Krakusie" był ambitną i udaną próbą interpretacji dramatu Norwida w kategoriach współczesnej krytyki mitograficznej. Korzystając z inspiracji płynących z prac Gilberta Duranda, Gastona Bachelarda, a przede wszystkim Mircea Eliade'a, autorka skupiła się na analizie trzech zasadniczych dla „Krakusa" opozycji strukturalnych: 1) podział świata na sferę sacrum i strefę profanum (w aspekcie kosmicznym i terralnym), 2) dychotomia w konstrukcji bohaterów (ludzie religijni — ludzie świeccy), 3) odróżnienie czasu laickiego, historycznego od czasu świętego, religijnego, mitycznego. Oryginalny i spójny myślowo wywód odsłonił nowe pokłady semantyczne tragedii o „księciu nieznanym", nie dostrzeżone dotąd przez badaczy przystępujących do tego tekstu z innym zespołem narzędzi analitycznych.

Joanna Sulikowska (UJ) wygłosiła referat pt. „Realizacja założeń sztuki dramatycznej u Norwida".

Na zakończenie sesji Czesław Kurdziel (WSP) Kraków dokonał opisu przedstawienia „Za kulisami" w reżyserii Kazimierza Brauna. Temat tego wystąpienia: „Aktualność polityczna spektaklu K. Brauna „Za kulisami".

Oceniając przedstawione prace, jury (doc. dr A. Aleksandrowicz — przewodniczący, prof. dr I. Sławińska, doc. dr habilitowany M. Grzędzielska, dr Z. Jastrzębski, mgr B. Małek i mgr M. Kozaneckij przyznało pierwsze miejsce Witoldowi Kiedaczowi (UJ), drugie ex aequo Ewie Kosowskiej (UMCS) i Henrykowi Siewierskiemu (UJ), trzecie Zbigniewowi Bauerowi (UJ), podkreślając wszakże mniej więcej równy poziom i niewątpliwe walory wszystkich prac.

Stefan Minch

Kadry ekonomiczne

Ilość czy jakość?

Dokończenie ze str. 1

wodowy ekonomisty, już w stadium preorientacji powodował niekorzystną selekcję kandydatów na studia ekonomiczne. Niezbyt wysoki poziom kwalifikacji fachowych i innych kadry ekonomistów utrwalał ich status i niski prestiż nauk ekonomicznych.

Szczególnie istotne dla wzrostu roli ekonomistów jest to, że szersze wprowadzanie rozrachunku gospodarczego umożliwia pośredni, parametryczny wpływ na wybory ekonomiczne poprzez politykę cen, zasady podziałów wyników, zasady finansowania i kredytowania działalności eksploatacyjnej i inwestycyjnej itp. Wszystko to umożliwia łączenie racjonalności mikroekonomicznej z racjonalnością mezzo- i makroekonomiczną oraz wzrost samodzielności i odpowiedzialności organizacji gospodarczych. Taka organizacja działalności gospodarczej wymaga od kadry ekonomistów samodzielności i inicjatywności, które są niemożliwe bez gruntownych studiów akademickich i pogłębianych przez działalność praktyczną i samokształcenie podstaw specjalizacji. Podniesienie rangi ekonomistów z wyższym wykształceniem wymagać będzie ciągłego doskonalenia kwalifikacji, zapobiegania marnotrawstwu ich na jednych odcinkach, a deficytom na innych. Konieczna jest więc doskonalsza polityka kadrowa, wprowadzająca jasny podział uprawnień i obowiązków, własną obsadę stanowisk ekonomicznych i preferująca lepiej przygotowanych do spełniania bardziej złożonych funkcji.

W tym aspekcie siedmioletnia praktyka funkcjonowania służb ekonomicznych w przedsiębiorstwach i zjednoczeniach stworzyła konieczność nowelizacji uchwały Rady Ministrów nr 224 z 29 lipca 1964 roku w sprawie postępu ekonomicznego w gospodarce uspołecznionej i organizacji służb ekonomicznych. Chodzi tu o precyzyjniejsze określenie zawodu ekonomisty, zadań służb ekonomicznych, poziomu kwalifikacji i typu wykształcenia niezbędnego zarówno kierownikom, jak i innym pracownikom zatrudnionym w działach czy komórkach ekonomicznych. Niezależnie jednak od warunków instytucjonalnych pozycja służb ekonomicznych i ekonomistów jest wyższa tam, gdzie potrafią oni twórczo współuczestniczyć w ustalaniu zadań i przewidywaniu kierunków oraz rozwiązywaniu problemów rozwojowych przedsiębiorstw, kombinatów i zjednoczeń, nie zadowalając się bierną rolą wykonawców wtórnego rachunku ekonomicznego.

Nie można w tych analizach pominąć społeczno - politycznej roli najaktywniejszej kadry ekonomistów i ich organizacji w reedukacji ekonomicznej społeczeństwa polskiego.

Wraz ze wzrostem wymagań co do poziomu kwalifikacji kadr ekonomicznych zwiększa się również ilościowe zapotrzebowanie na nią wszystkich rozwijających się gałęzi gospodarki narodowej. Na podstawie danych statystycznych widać, że tempo przyrostu kadr z wyższym wykształceniem ekonomicznym jest relatywnie niskie. Wyrazem tego jest zmniejszenie się liczby ekonomistów przypadających na 1000 zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej z 4,76 w 1958 r. do 4,44 w 1964 r. i wzrost do 5,48 w 1968 r. Deficyt ilościowy ekonomistów wykazuje tendencję wzrostu. Wpływa to negatywnie na poziom nasycenia kadrą ekonomistów zarówno w przekroju gałęziowym, jak i regionalnym.

Zdawałoby się więc, że istnieje obecnie dylemat w kształceniu kadr ekonomicznych: ilość czy jakość? Jeśli uznać, że faktycznie istnieje taki dylemat, to pierwszeństwo powinno przypaść jakości. Zasadniczy problem rozwoju gospodarki polskiej nie tyle tkwi w ilości kadr z wyższym wykształceniem, ile przede wszystkim w ich jakości. Stosunkowo dość duża liczba tych kadr nie kompensuje ich stosunkowo niskiego poziomu kwalifikacji, zdolności i aktywności, a więc niskiej jakości. Odczuwana przez gospodarkę uspołecznioną dotkliwość deficytu ilościowego kadr kwalifikowanych wynika przede wszystkim z niskiej jakości ich przygotowania, nieracjonalnej organizacji aparatu gospodarczego, a w związku z tym i z nieuniknionego w takiej sytuacji marnotrawstwa kwalifikacji. Stoimy obecnie przed koniecznością szybkiego uzupełnienia nie tyle deficytu ilościowego, ile jakościowego kadr, bowiem ten drugi może postawić pod znakiem zapytania powodzenie polityki nowych perspektyw i przygotowywania radykalnych zmian w systemie funkcjonowania gospodarki narodowej i państwa. Należy również brać pod uwagę poważne konsekwencje, jakie mogą wyniknąć z niemożliwości wymiany starych kadr kierowniczych o niskich kwalifikacjach, nie odpowiadających już zwiększonym wymaganiom modernizowanej gospodarki, na kadry nowe, młodsze, o zasadniczo wyższych kwalifikacjach fachowych i moralno-politycznych. Konserwatyzm starych kadr znajduje i będzie znajdował wyraz w ich dążeniu do utrzymania społecznego i organizacyjnego status quo, a co za tym idzie w utrudnianiu czy wprost świadomym hamowaniu naturalnego awansu lepiej przygotowanych kadr młodych specjalistów.

Według spisu kadrowego GUS z 1968 r. gospodarka uspołeczniona zatrudniała 46 727 osób z wyższym wykształceniem ekonomicznym, w tym 30 571 mężczyzn.

W latach 1945—1970 wyższe studia ekonomiczne ukończyło ponad 50 tys. absolwentów, w tym ponad 22 tys. w latach 1966—1970. W roku akademickim 1969/70 na studiach dziennych było 2643 absolwentów, na studiach wieczorowych — 611, na studiach zaocznych 5176 i na studiach eksternistycznych — 347. Studentów na poszczególnych typach studiów w roku akad. 1970/71 było odpowiednio: 20 342, 1972, 21 574 i 1099 [1]).

Według spisu kadrowego GUS w 1968 r. w przemyśle państwowym było 4 430 dyrektorów, spośród których tylko 51,8 proc. posiadało wyższe studia. Zastępców dyrektora do spraw administracyjnych, finansowych lub handlowych było ogółem 1 310. Z tego 465 osób, tj. 33,9 proc., miało wykształcenie wyższe, 407 średnie zawodowe, 303 średnie ogólnokształcące, 44 niepełne średnie ogólnokształcące, 47 zasadnicze zawodowe a 44 tylko podstawowe.

Kierowników działu ekonomicznego z wykształceniem podstawowym lub nie ukończonym podstawowym było 111.

Porównanie poziomu kwalifikacji kadry kierowniczej przemysłu (a w niektórych innych działach gospodarki uspołecznionej jest jeszcze gorzej) z liczbą absolwentów szkół wyższych wskazuje niewątpliwie na istnienie patologicznej sytuacji w dziedzinie polityki kadrowej.

Gospodarka narodowa dysponuje obecnie ogromną ilościowo kadrą ekonomistów. Efektywniejsze jej wykorzystanie jest możliwe tylko w warunkach racjonalizacji struktur organizacyjnych naszej gospodarki. Jest to warunek sine qua non wszelkich poczynań w zakresie aktywnej, śmiałej i nacechowanej wyobraźnią społeczną zarówno aktualnej, jak i perspektywicznej polityki kadrowej prowadzonej przez centralne i terenowe organa władzy i administracji państwowej oraz inne instancje, w gestii których leży gospodarka czynnikiem ludzkim.

Do tej pory nie ma opracowań, na których podstawie władze szkolnictwa wyższego mogłyby się zorientować dokładniej, jakich ekonomistów potrzebuje gospodarka uspołeczniona, o jakim profilu wykształcenia, charakterze podstaw specjalizacji i cechach osobowościowych. Obliczenia w zakresie zapotrzebowania przeprowadzane przez szereg resortów gospodarczych mają charakter zbiorczy. Stąd wniosek, że należy przeprowadzić gruntowne i kompleksowe badania empiryczne co do ujmowanego dynamicznie zapotrzebowania gospodarki uspołecznionej na poszczególne typy kwalifikacji ekonomistów. W tym celu konieczne byłoby m.in. zewidencjonowanie aktualnej struktury służb ekonomicznych we wszystkich ogniwach zarządzania i konfrontacja jej z wynikami przeprowadzonych badań empirycznych w zakresie potrzeb na kadrę ekonomistów. Otrzymalibyśmy w ten sposób odpowiedź na pytanie, czy faktycznie istnieje deficyt tych kadr, a jeśli tak, to czy jest to deficyt ilości, dyplomów czy jakości, kwalifikacji. Ale nawet to nie byłoby wystarczającą przesłanką do konfrontacji zadań z kadrowymi i materialnymi warunkami i możliwościami wyższego szkolnictwa ekonomicznego.

Jedną z podstawowych reguł ekonomiki kształcenia jest dostosowywanie zasobu wiedzy i sylwetek kształconych specjalistów do racjonalnych potrzeb gospodarki w dłuższym horyzoncie czasowym. Nie znamy jeszcze obecnie przyszłych struktur organizacyjnych, które zostaną utworzone w wyniku zapowiedzianych przez VI Zjazd PZPR zmian w systemie funkcjonowania gospodarki narodowej i państwa. Nie jesteśmy więc w stanie obliczyć dokładniej zapotrzebowania na poszczególne typy specjalistów i rodzaj ich kwalifikacji. Jednak już dziś należy rozwijać badania prognostyczne w tym kierunku, jako że stanowią one naukową podbudowę współczesnego planowania rozwoju społeczno-gospodarczego i naukowo-technicznego. Tak więc dopiero opracowanie zadań i struktury służb ekonomicznych w latach 1975—1980 oraz potrzeb, placówek naukowych, dydaktycznych i badawczych będzie odpowiednią podstawą do sformułowania zadań ilościowych i jakościowych wyższego szkolnictwa ekonomicznego (tempo kształcenia, proporcje ilościowe i optymalny profil treści programowych kształcenia poszczególnych typów ekonomistów). Ta dłuższa perspektywa powinna ukierunkować działania na rzecz stworzenia takich warunków kadrowo-meterialnych wyższych szkół ekonomicznych i wydziałów czy sekcji ekonomicznych innych uczelni, które odpowiadałyby ich przyszłym zadaniom w zakresie kształcenia wysoko kwalifikowanych kadr ekonomistów.

Obecnie jednak mamy do czynienia z taką sytuacją, w której wzrastające zadania jakościowe i ilościowe tych szkół realizuje się przy niezmiennej w zasadzie już od wielu lat wielkości wydatków z budżetu centralnego na ten cel. Świadczy o niej pogarszanie się podstawowego wskaźnika charakteryzującego warunki pracy wyższych szkół ekonomicznych i wydziałów ekonomicznych uniwersytetów, jakim jest wysokość kosztów wykształcenia absolwenta. W 1964 r. wynosiły one 112,3 tys. zł, a w 1968 r. już tylko 84,8 tys. zł. Uczelnie ekonomiczne są najtańszymi spośród wszystkich ośmiu typów szkół wyższych w Polsce. Liczba studentów przypadających na jednego pracownika naukowo-dydaktycznego wykazuje tendencję wzrostu. W r. akademickim 1960/61 wynosiła ona 9,1, w roku 1965/66 — 14,0, a w r. 1968/69 już 14,9. Według szacunków MOiSzW na jednego studenta na wyższych uczelniach ekonomicznych przypadało w 1960 r. 65 m sześciennych pomieszczeń dydaktycznych, a w 1965 r. już tylko 34 m sześcienne. Wszystko to powodowało, że w pracy szkół wyższych często preferowana była ilość kosztem jakości. W konsekwencji uległ obniżeniu przeciętny poziom pracy magisterskiej i powstały duże opóźnienia w kończeniu studiów. Niemały był w tym udział przeprowadzonej w 1965 r. reformy studiów ekonomicznych i skrócenie ich z 5 do 4 lat.

Tendencji do preferowania ilości sprzyjała polityka ekstensywnego rozwoju naszej gospodarki. Dynamicznie zwiększająca się ilościowo produkcja, ale o niskim standardzie jakościowym, stwarzała zapotrzebowanie głównie na zaledwie dostatecznie przygotowane kadry fachowców. Stąd mierzenie poziomu i zasobu kwalifikacji istniejącej kadry ekonomistów ilością wydanych dyplomów prowadzi do podobnych złudzeń, jak ocenianie tym samym wskaźnikiem efektywności pracy szkół wyższych, a wszelki optymizm w tej dziedzinie okazuje się zwykle po pewnym czasie nieuzasadniony. Stosowana w gospodarce uspołecznionej i administracji państwowej polityka płac nie stymulowała i w dalszym ciągu nie stymuluje zainteresowania samych studentów do osiągania jak najlepszych rezultatów w swych studiach, do intensyfikacji oraz terminowego czy szybszego ich kończenia.

O tempie wzrostu gospodarczego, o maksymalnym zaspokojeniu potrzeb życiowych społeczeństwa decydować będzie przede wszystkim jakość czynnika ludzkiego, szczególnie kadry kierowniczej. Pilną koniecznością jest więc obecnie dokonanie zdecydowanej reorientacji, przejście do polityki intensywnego rozwoju wyższego szkolnictwa ekonomicznego, wyrażającego się w koncentracji sił i środków na najistotniejszej kwestii — jakości absolwentów. Chodzi tu o doskonalenie procesu dydaktycznego, weryfikację treści programowych, właściwą rolę wiedzy teoretycznej i metodologicznej, a głównie o zastąpienie dotychczasowej specjalizacji branżowej, która nie zdała w praktyce egzaminu, specjalizacją funkcjonalną dającą przygotowanie do spełniania określonych funkcji we wszystkich działach gospodarki narodowej. Sposobnością do gruntowniejszego przedyskutowania powyższych zagadnień jest zapowiedziana przez MOiSzW reforma studiów ekonomicznych.

Problemy tej reformy to temat odrębnych rozważań.

Romuald Poliński

[1]) Rocznik Statystyczny 1971, GUS, Warszawa 1971, ss. 494—495.

Jak dzielić fundusz spożycia?

Ryszard Bączek

PROGRAM rozwoju społeczno - ekonomicznego Polski do roku 1975 zakłada, że poziom funduszu spożycia wzrośnie w tym okresie o 38 proc., tzn. o około 200 mld zł (w ujęciu netto). Przyrost tego funduszu przeznaczony zostanie na sfinansowanie wzrostu dochodów indywidualnych ludzi pracy, tzn. wzrostu płac realnych, rent, emerytur oraz na podniesienie obecnego poziomu spożycia zbiorowego. Przeciętnego obywatela interesuje, oczywiście, jaki będzie jego osobisty udział w podziale tych 200 mld zł, ile on otrzyma w postaci wyższej płacy, emerytury czy renty, oraz o ile więcej będzie mógł skonsumować z funduszu spożycia zbiorowego.

W socjalizmie polityka podziału społecznego funduszu spożycia pomiędzy indywidualnych konsumentów opiera się na dwóch podstawowych zasadach: 1) podziału według pracy, 2) podziału według potrzeb. Pierwszą zasadę realizuje się w ramach polityki płac, drugą w ramach szeroko pojętej opieki społecznej. Od znaczenia, jakie mieć będzie każda z tych dwu zasad w polityce podziału, zależeć będzie udział poszczególnych osób w podziale przyrostu funduszu spożycia tzn. tych 200 mld zł.

Powstaje więc pytanie, w jakim stopniu polityka płac w Polsce w tym 5-leciu oparta będzie o zasadę: płaca według pracy, i jakie ona zrodzi problemy.

Otóż w Uchwale VI Zjazdu PZPR postanowiono, że planowany na obecne 5-lecie wzrost płac realnych w wysokości 18 procent nie będzie równomiernie rozdzielony, ale sposób jego podziału zostanie podporządkowany zadaniom w zakresie rozwoju gospodarczego. W praktyce oznacza to podział preferencyjny dla tych grup zawodowych, które reprezentują priorytetowe gałęzie gospodarki. Przyjęcie zasady preferencyjnego podziału funduszu podyktowane zostało potrzebą wzmocnienia bodźcowej funkcji płacy. Jeżeli płaca ma stanowić skuteczny bodziec do wzrostu wydajności pracy, to za wzrostem wydajności musi iść odpowiednio wysoki wzrost płacy, wzrost odczuwalny przez pracownika.

Uznając w pełni słuszność zasady preferencji gałęziowych w polityce płac w warunkach, jakie istnieją obecnie w naszej gospodarce, należy jednocześnie zdawać sobie sprawę z tego, że podział funduszu płac preferujący pewne grupy zawodowe osłabia inną funkcję, jaką płaca pełni w socjalizmie, mianowicie funkcję społeczną.

W ustroju socjalistycznym płaca w funkcji społecznej powinna tworzyć klimat wzajemnej życzliwości pomiędzy pracownikami, pomocy i współpracy, powinna integrować załogi pracownicze i to nie tylko w ramach danego przedsiębiorstwa, a nawet nie przede wszystkim, ale w skali całej gospodarki narodowej. Płaca powinna więc kształtować w sposób skuteczny socjalistyczne stosunki międzyludzkie, które powstają w procesie gospodarowania.

Ażeby jednak płaca mogła skutecznie pełnić taką funkcję społeczną, musi być uznana przez pracowników za słuszną. Dokonywana przez każdego pracownika ocena słuszności jego płacy opiera się na ocenie stosunku wysokości otrzymywanej płacy do wydatkowanej pracy. Pracownik porównuje swój zarobek i swoją pracę z zarobkiem i pracą swoich znajomych. Jeżeli spostrzega, że płace nie odpowiadają ilości i jakości pracy wykonywanej, to jego ocena słuszności płac jest negatywna. Płace uznane za niesłuszne nie mogą kształtować właściwych, socjalistycznych postaw pracownika, nie integrują dostatecznie silnie załóg pracowniczych, nie wytwarzają klimatu wzajemnej życzliwości i współpracy.

Jest bardzo ciekawą sprawą, że pracownik ocenia płacę jako niesłuszną zarówno wtedy, gdy zarabia za dużo w stosunku do swojej pracy, jak i wtedy, gdy zarabia za mało. Badania przeprowadzone w jednej z hut w Katowicach wykazały, że 25 proc. robotników uznało swoje płace za niesłuszne, gdyż zarabiali za dużo. (Badaniem objęto 56 robotników). Indywidualna ocena słuszności płac jest więc w dużej części obiektywna. Ludzie nie kierują się przy tej ocenie wyłącznie interesem własnym.

Płace są uznawane za słuszne wtedy, gdy odpowiadają ilości i jakości pracy bez względu na to, w jakim zakładzie pracownik jest zatrudniony i do jakiego resortu dany zakład należy. Pracownicy w swojej ocenie słuszności płac nie uwzględniają w ogóle kryterium preferencji gałęziowych. W związku z tym należy stwierdzić, że stosowanie w polityce płac preferencji gałęziowych, tzn. stwarzanie różnych możliwości zarobku w zależności od gałęzi gospodarki, wywołuje negatywną ocenę słuszności płac i osłabia tym samym tak ważną w naszym ustroju społeczną funkcję płac. Wywołuje to określone negatywne skutki ekonomiczne w postaci nadmiernej fluktuacji kadr, obniżenia dyscypliny pracy, braku identyfikacji pracownika z jego zakładem pracy.

Wzmocnienie społecznej funkcji płac wymagałoby więc rezygnacji z zasady preferencji gałęziowych. Pragnę jednakże podkreślić, że wniosek ten, aczkolwiek teoretycznie słuszny, nie może być w obecnych warunkach kierowany pod adresem aktualnej polityki płac. Jego praktyczna przydatność bowiem ograniczona jest przez aktualne warunki, jakie istnieją w naszej gospodarce, a ściśle zadania, jakie stoją przed nią. Chodzi tu obecnie nie tylko o przyspieszenie tempa ogólnego wzrostu gospodarczego, ale także przezwyciężenie rażących dysproporcji w poziomie spożycia poszczególnych grup społecznych.

Analiza budżetów rodzinnych pracowników gospodarki uspołecznionej wykazała, że w 1970 r. rozpiętość przeciętnych dochodów netto w przeliczeniu na 1 osobę w rodzinie była prawie sześciokrotna: 5 827 zł rocznie w najniższej grupie zamożności i 33 126 zł w grupie najwyższej. Rozpiętość wydatków na żywność pomiędzy najwyższą i najniższą grupą zamożności była 3,5-krotna (3 259 zł i 11 548 zł), na higienę i ochronę zdrowia — 13-krotna (149 zł i 1 914 zł), na kulturę, sport i turystykę — 24-krotna (204 zł i 4 841 zł). Podniesienie poziomu spożycia ludności znajdującej się w niskich grupach zamożności będzie możliwe tylko w warunkach przyspieszonego tempa wzrostu dochodu narodowego i podniesienia poziomu efektywności ekonomicznej naszej gospodarki. Nie przezwycięży się istniejących dysproporcji w ramach gospodarki statycznej, a tylko w gospodarce dynamicznej. Natomiast warunkiem zdynamizowania rozwoju całej gospodarki jest szybki rozwój kluczowych gałęzi produkcji, a to wymaga wzmocnienia bodźcowej funkcji płacy właśnie w tych gałęziach. Dlatego też wzrost płac w tych gałęziach musi być wyższy niż w innych.

Należy więc mocno podkreślić, że przyjęta w polityce płac zasada stosowania preferencji gałęziowych nie jest cechą wrodzoną socjalistycznej polityki płac, ale służy określonemu celowi, którym jest osiągnięcie wyższego stopnia zaspokojenia potrzeb społecznych na bazie przyspieszonego wzrostu gospodarczego. Dlatego wydaje się, że zasada ta ma wyłącznie charakter sezonowy i polityka płac winna odejść od niej tak szybko, jak pozwolą na to warunki. Odpowiadając więc na postawione wyżej pytanie: w jakim stopniu polityka płac w Polsce będzie oparta na zasadzie „płaca według pracy" — należy stwierdzić, że praca stanowi główną podstawę płacy, ale jej znaczenie będzie z konieczności osłabione okresowym wpływem preferencji gałęziowych.

Jakie ma być z kolei znaczenie drugiej zasady: podziału według potrzeb? Otóż wydaje się, że w świetle przedstawionych wyżej dysproporcji w poziomie spożycia, jakie występują obecnie w Polsce, należałoby zwiększyć znaczenie tej zasady w stosunku do stanu obecnego. Słuszny wydaje się pogląd, że fundusz spożycia zbiorowego winien w większym niż dotychczas stopniu służyć grupom społecznym o najniższych dochodach. Chodzi tu głównie o finansowanie tych potrzeb, których stopień zaspokojenia jest rażąco niski w stosunku do innych grup ludności. Zaspokajanie tych potrzeb w większym stopniu leży w interesie nie tylko danej grupy społecznej, ale także całego społeczeństwa. Chodzi tu głównie o potrzeby z dziedziny kultury, oświaty, higieny, turystyki itp.

Wzrostu stopnia zaspokojenia tych potrzeb w najniższej grupie zamożności nie można osiągnąć na drodze podniesienia płac członków rodzin o najniższych dochodach. Byłoby to sprzeczne z pierwszą zasadą, głoszącą, że płaca musi odpowiadać pracy. Wartość pracy nie zawsze kwalifikuje ludzi o najniższych dochodach na jednego członka rodziny do wyższej płacy. Ponieważ jednak względnie wysoki stopień zaspokajania pewnych potrzeb, bez względu na poziom płac, leży w interesie całego społeczeństwa, a poziomu tego nie można obecnie osiągnąć na drodze wzrostu płac, pozostaje finansowanie ich z funduszu spożycia zbiorowego.

Istniejące obecnie dysproporcje w poziomie spożycia dyktują więc potrzebę zapewnienia większego udziału w funduszu spożycia zbiorowego ludziom o najniższych dochodach. Uzależnienie tempa wzrostu stopy życiowej tych ludzi wyłącznie od tempa wzrostu płac realnych oraz zrównania dla wszystkich — bez względu na poziom zarobków i dochodów na 1 osobę w rodzinie — uprawnień do korzystania z funduszu spożycia zbiorowego oznaczałoby, że jeszcze bardzo długo istniałyby w Polsce grupy społeczne żyjące na poziomie minimum socjalnego. Dlatego wydaje się, że w pełni słuszne są te poglądy, które głoszą, że zasady podziału funduszu spożycia zbiorowego winny uwzględniać przede wszystkim potrzeby grup o najniższej zamożności.

Kamena str. 3

Anna Waszczuk

bez skazy

dajcie mi taką czerwień bez skazy
bym się w nią mogła w dwójnasób przyoblec
i nie wpisujcie jej w kolor witraży
i nie rzucajcie psom na pożarcie

dajcie mi takie słowo bez skazy
co nie zawadzi czołem o gwiazdozbiór
a wielociałem pod chmury wyrośnie
i się w milionach kolejno potwierdzi

dajcie mi taką ciszę bez skazy
co przypalona ogniem nie krzyknie
i nie zaszumi i nie zapłacze
nad czarnym cembrem — sławetni bracia

Rys. E. Inglot

Marek Kusiba

tak winno

bratu

na razie będziesz mierzył metr
a potem zobaczymy
codziennie talerz śliw i mierzw
dziewczyny

obejdą się bez ciebie ty pleśnieć
ty mchem zołtarzyć się winien

potem taką ci żoneczkę że ho ho

obejdzie cię opleśni jak pies obwącha
pokryje cię omszy jak zimą żyzną
zatumani
i z myślami i z wszystkim

— nie odpłużysz

* * *

Tadkowi

jest to strategia bębna
i połogu taktyka połowu śledzia
dobosz-psychopata wyznaje morderstwo
i z morza zręcznie dobywają rybę

jest to ze wszech miar słuszne
gdy kolor głuszy nadmiar synestezji
gdy wchodzi wiosna do pokoju lata
a pokój zimą samopalów dymi

a język toczy słów dosłownych kornik
a w sieciach wzajem patroszą się śledzie

Zdzisław Toczyński

zwinger

marii

pani uczyła córkę
ile biegać
nie martwiąc almanachów gotajskich
aniołowie w pracowniach alchemików
domyślają się wieku chlebodawcy
pani
— może księżna toledo
po co wymyślać życiorysy
babim latem karmi artystów
ptaki karmią
— wpisuję dzień
pobożne siostry miłosierdzia
— po co wymyślać życiorysy
dziwi się księżna
ciężkie ramy potwierdzają dobre pochodzenie
miałam spowiednika kilka dekalogów zbawienia
— zostały wszystkie
babie lato na polach elizejskich goni mecenasów
przetworzone w oleje umarłych budzi szacunek
czasami
marchand przynosi pozdrowienie

Akcja w Pohulance

Leszek Siemion

KIEDY oddział na dobre zagospodarował się w lasach, „Fiodor" powrócił do sprawy niebezpiecznego sąsiedztwa w Pohulance. Tamtejszy tartak pracował pełną parą, a nad jego bezpieczeństwem czuwała stale hitlerowska załoga. Co prawda w lasy nie zapuszczała się, ale sama jej obecność blokowała jeden z wylotów leśnego kompleksu i choćby przez to samo była dla partyzantów nie do zniesienia.

Ruchliwy „Kolka" — Meluch otrzymał zadanie szczegółowego rozpoznania obiektu. „Fiodor" osobiście objaśnił go na jakie szczegóły ma zwrócić uwagę. „Kolka" tylko ucieszył się — znał w lasach każdą dróżkę. Pohulankę nie gorzej, nawet jej mieszkańcy byli mu dobrze znajomi, więc w ustaleniu potrzebnych danych nie widział żadnych trudności.

Za dnia dokładnie obejrzał tartak dookoła, zajrzał nawet na tartaczny plac, a wieczorem rozmawiał z robotnikami, odwiedzając ich w domach. W ten sposób zebrał wszystkie szczegóły potrzebne do zaplanowania ataku. Tartak leżał przy samym lesie, od którego oddzielała go tylko gruntowa droga i tor kolejki przeznaczonej do wywozu drewna z lasów oraz z placu tartacznego do stacji kolejowej w Parczewie. Od północnego zachodu do tartaku przylegały zabudowania leśnictwa, od południowego wschodu pasmo łąk oddzielało cały obiekt od płytkiego i bagnistego jeziorka Obidowskiego. Od północy płynął maleńki strumyk, poza którym rozciągało się równe, odkryte pole. Cały plac tartaczny był otoczony wysokim parkanem, zabezpieczonym od góry kolczastym drutem.

Sam plac był zawalony tarcicą i surowymi klocami. Wewnątrz, pięćdziesiąt metrów za płotem, stał właściwy budynek tartaczny, w którym przecierano kloce, obok niego znajdował się budyneczek administracji, zaś kilkadziesiąt metrów dalej wznosił się piętrowy budynek zajmowany przez hitlerowską załogę. Piętro tego budynku było drewniane, parter zaś — murowany. Przy narożniku budynku hitlerowcy zdążyli zbudować mały, betonowy schron bojowy na jeden karabin maszynowy. Również w samym budynku przygotowane były stanowiska ogniowe. Drugi schron znajdował się przy bramie wjazdowej i był stale obsadzony przez dwóch ludzi z karabinem maszynowym. Załoga tartaku składała się z około 20 „własowców", nad którymi komendę sprawował Niemiec, lejtnant Art, paradujący zazwyczaj w towarzystwie psa. Ze względu na groźne sąsiedztwo lasów załoga hitlerowska znajdowała się stale w bojowym pogotowiu.

Po wysłuchaniu relacji „Kolki" dowódcy rozpoczęli naradę. Przed podjęciem decyzji „Fiodor" chciał wysłuchać opinii swych podkomendnych, przede wszystkim dla opracowania najlepszego planu działania, a także i po to, aby uchronić się przed ewentualnymi zarzutami, jakie mogłyby wywołać straty poniesione w planowanej akcji. Głosy były podzielone, szczególnie co do pory ataku. Jedni woleli noc — partyzancką sojuszniczkę, drudzy — dzień, gdyż wtedy pewniejsze było zaskoczenie, zaś bliskość lasu i tak pozwalała na łatwy odskok. Ostatecznie wybrano porę nocną, przede wszystkim ze względu na cywilnych robotników tartacznych, którzy podczas dnia byliby narażeni na kule z obu walczących stron. Dzień akcji „Fiodor" ustalił na sobotę, kiedy tartak wcześniej kończył pracę.

W sobotnie popołudnie „Fiodor" zarządził zbiórkę i osobiście wydzielił 80 najlepiej uzbrojonych partyzantów, nad którymi dowództwo powierzył „Czuwaszowi". Niestety, w całym oddziale nie było ani jednej sztuki broni maszynowej, w partyzanckiej walce najważniejszej. Reszta oddziału, już słabiej uzbrojona, miała pozostać w obozie. Naturalną koleją rzeczy do grupy „Czuwasza" wszedł też „Kolka", a wraz z nim Michał Krupka.

Nie czekając wieczoru wydzielona grupa pomaszerowała lasami na północ. Na krótko przed zachodem słońca oddział znalazł się w leśnej kotlince o pół kilometra na południe od tartaku. „Czuwasz" wyznaczył ubezpieczenie i zarządził odpoczynek. Sam przywołał „Kolkę" i wyruszył z nim na skraj lasu, aby własnymi oczami obejrzeć obiekt ataku. Podczas tego krótkiego rozpoznania podjął ostateczne decyzje bojowe.

Było samo przez się zrozumiałe, że najpilniej strzeżona przez nieprzyjaciela jest strona przylegająca do lasu. Od tej właśnie strony znajdował się bunkier przy bramie. Natomiast najbezpieczniejsze wydawało się podejście od strony jeziorka Obidowskiego, ale pod warunkiem, że oddział potrafi przebyć łączkę tak cicho, iż nie zwróci na siebie uwagi hitlerowców. „Czuwasz" wybrał właśnie tę możliwość.

Jeszcze w lesie podzielił oddział na trzy grupy i wyznaczył im zadania. Wszystkie miały się jednocześnie przedostać przez parkan, rozwinięte w prawo, w kolejności od pierwszej do trzeciej, nad którą dowództwo „Czuwasz" pozostawił sobie. Ten jego wybór nie był przypadkowy, gdyż trzeciej grupie przypadało najtrudniejsze zadanie. Pierwsza po sforsowaniu parkanu miała zaatakować bunkier przy bramie i zniszczyć jego załogę. Zadaniem drugiej grupy, dowodzonej przez Osetyńca „Michała", było opanowanie budynku administracyjnego i zniszczenie jego urządzeń oraz opanowanie magazynu. Trzecia, najliczniejsza grupa, miała zaatakować kwaterę hitlerowców i zniszczyć załogę tartaku, a przynajmniej ją zablokować.

Zapadł wieczór, ale „Czuwasz" jeszcze się nie śpieszył z rozpoczęciem akcji. Czekał, aż hitlerowska załoga ułoży się do snu. Na czujce pod tartakiem raz i drugi zmieniali się partyzanci. Druga zmiana po powrocie z posterunku zameldowała, że w tartaku wszystko ucichło, co oznaczało, że nadchodzi właściwy czas ataku. Dla pewności dowódca oddziału dopiero po blisko godzinie podniósł partyzantów na nogi.

Jako pierwsza szła cichaczem grupa „Czuwasza", za nią również cicho posuwał się Osetyniec „Michał", z trzecią szedł na końcu Krupa. Przy dowódcy oddziału maszerował „Kolka", a tuż za nim posuwało się dwóch krasnoarmiejców rodem z Rostowa nad Donem — nauczyciel „Anton" i jego kolega „Wołodia". Miękka ziemia tłumiła kroki, więc tylko przy przeskakiwaniu toru kolejki kilka razy zadźwięczały szyny. Oddział zupełnie nie zauważony dotarł do parkanu i rozwinął się na prawie całej jego długości.

Dowódcy grup zameldowali gotowość i „Czuwasz" dał cichy rozkaz — w pierlodi, po którym długi szereg partyzantów rzucił się na płot.

Bez większych trudności udało się zerwać druty podważone na raz w wielu miejscach i partyzanci całą falą wtargnęli za parkan. Kiedy pierwsi z nich znaleźli się już w obrębie tartaku, pozostali odbili w kilku miejscach deski, robiąc w płocie dogodne przejścia. Ale spowodowało to znaczny hałas. Od strony kwatery hitlerowców nieoczekiwanie szybko załomotały strzały z broni ręcznej i maszynowej.

Czy to oddział partyzancki podjął atak w momencie zmiany obsady bunkrów, czy też z jakiegoś innego powodu w momencie forsowania płotu przez partyzantów kilku żołnierzy z załogi tartaku znajdowało się na placu — trudno powiedzieć. W każdym razie hałas przy parkanie zaalarmował ich, więc gdy sylwetki partyzantów pojawiły się wśród stosów drewna, wachmani bez namysłu otworzyli ogień.

Partyzanci bez komendy odpowiedzieli strzałami i za przykładem swego dowódcy zaczęli skokami przesuwać się ku kwaterze hitlerowskiej załogi. Ruch ten nie uszedł uwadze wroga, który już całością sił wzmógł ostrzał, gdyż reszta garnizonu przebudziła się i włączyła do walki. Nad tartacznym placem wzbiła się rakieta, za nią poszybowały następne, czyniąc dzień z marcowej nocy. Kryjąc się za klocami drewna, partyzanci odcinali się rzadkim ogniem karabinowym, ale ich ruch został zahamowany.

Drugie ognisko walki powstało przy bramie tartaku. Szturmowa grupa Krupki wprawdzie łatwo dotarła w pobliże bunkra, ale strzały obudziły czujność jego obsady i szansa zaskoczenia przepadła. Partyzanci zablokowali ogniem wyjście ze schronu, ale sami dostali się w pole ostrzału karabinu maszynowego i nie mogli zrobić ani kroku dalej. Kule ich karabinów nieszkodliwie stukały w betonowe ściany bunkra.

W środku partyzanckiego szyku wykonywała swoje zadanie grupa Osetyńca „Michała". Wykorzystując związanie walką hitlerowców w ich kwaterze oraz w bunkrze pod bramą, partyzanci posunęli się naprzód o kilkadziesiąt metrów. W biegu złapał ich ogień sypiący się z dwóch stron i krzyżujący przed zabudowaniami właściwego tartaku. Rakiety oświetliły plac, grupa musiała przyczaić się w stosach drewna.

Ukrytych na placu partyzantów odnalazł łącznik przysłany przez „Czuwasza" z zadaniem rozpoznania sytuacji grupy „Michała". Po krótkiej wymianie zdań z Osetyńcem łącznik pomknął z powrotem do dowódcy oddziału z meldunkiem, że grupa znajduje się pod ostrzałem i nie może ruszyć naprzód.

„Czuwasz" zastanowił się. Moment zaskoczenia minął, wróg uruchomił swoje wszystkie środki ogniowe. Hitlerowcy zdążyli też rozpoznać źródła ognia partyzantów i na nich skupili swój ostrzał. Gęsto sypiące się kule odłupywały drzazgi z bali i tarcicy, a któraś seria karabinu maszynowego skosiła „Wołodię" z Rostowa. Dalszy szturm na tartak można było prowadzić jedynie za cenę wysokich strat, a więc dla partyzantów nie miał sensu. Tym bardziej nie prowadziła do celu walka ogniowa, której jedynym efektem mogło być zmarnowanie skromnego zapasu amunicji. W tej sytuacji „Czuwasz" zdecydował się na odwrót i znów wysłał łączników z poleceniem ściągnięcia obu pozostałych grup. Ich wycofanie postanowił osłonić ogniem własnej grupy szturmowej, która na jego rozkaz wzmogła ostrzał.

Łącznik wysłany do grupy Osetyńca „Michała" na znanym sobie stanowisku już nikogo nie zastał. Kiedy wachmani skupili ogień na grupach „Czuwasza" i Krupki, w centrum paryzanckiego szyku kule przestały świstać i przed grupą „Michała" otwarła się możliwość dalszego ruchu. Gdy więc zgasła kolejna rakieta, Osetyniec poderwał swoich ludzi i jednym skokiem dopadł hali tartacznej oraz budynku administracji. Wszystkie pomieszczenia były pozamykane na skoble i tęgie kłódki, których nie było czym rozbić. Przy hali tartacznej plac był do czysta wymieciony, zabrakło nawet wiórów na podpałkę aby jak podpalić. Drzwi ani myślały ustępować przed kolbami karabinów i atak na nią okazał się bezowocny. Udało się natomiast wyłamać zamki do pomieszczeń kantoru, gdzie zdemolowano urządzenia i zniszczono dokumenty.

Łącznik niosący rozkaz odwrotu nie należał do gapiów. W mig zorientował się gdzie się grupa podziała. Szybko dopadł „Michała", który głośno powtórzył rozkaz i wezwał podkomendnych do wycofania się. Ich cienie zaczęły przesuwać się w kierunku płotu.

W momencie wydawania rozkazu odwrotu któryś z partyzantów rozwalił właśnie drzwi do sąsiadującego z kantorem magazynu, w którym między innymi rzeczami odkrył skrzynki z kontyngentową wódką. Zagarnął bez namysłu naręcze flaszek i podniósł krzyk, przywołując najbliższych kolegów. Powstał nagły zgiełk, przez który z trudnością przedarł się rozkaz odwrotu. Posłuchali go natychmiast, ale przed opuszczeniem magazynku każdy z partyzantów nabrał we wszystkie kieszenie i oburącz ile tylko się dało butelek z ognistym płynem. Dopiero tak objuczeni popędzili w kierunku parkanu, spod którego grupa „Czuwasza" w dalszym ciągu prowadziła wymianę ognia z hitlerowcami.

Chwilę wcześniej wycofała się pod parkan grupa Krupki. Stwierdziwszy dołączenie „Michała", dowódca oddziału nakazał przerwać ogień i całością wycofać się na skraj lasów. Partyzanci zniknęli więc szybko w przygotowanych wcześniej przejściach, a dwóch kolegów dźwigało zwłoki poległego „Wołodii". Po chwili oddział zagłębił się w las i przez nikogo nie ścigany pomaszerował na południe, w kierunku obozu.

Po kilku kilometrach marszu „Czuwasz" zarządził odpoczynek i polecił pochować zabitego. Ktoś rozniecił ognisko i w świetle płomienia koledzy obejrzeli zwłoki, jakby szukając w nich znaków życia. „Wołodia" dostał kilka kul w płuca i w szyję, zmarł w ciągu kilku minut. Ostatnie grudy ziemi rzucił na jego mogiłę „Anton", który służył z „Wołodią" w jednej saperskiej jednostce, razem z nim wpadł w niewolę, razem siedział w jenieckim obozie Suchożebry i razem uciekł stamtąd podczas buntu jeńców. Tym razem drogi życiowe obu przyjaciół rozeszły się na zawsze.

O godzinie 7 rano oddział dotarł do obozu, gdzie zmartwiony „Czuwasz" zameldował „Fiodorowi" o niepowodzeniu akcji. Nastrój porażki pogłębiały jeszcze wiadomości, które wkrótce nadeszły z Pohulanki. Rano lejtnant Art kazał strzelać do każdego, kto zbliżał się do tartaku. Nie zważając, że byli to tartaczni pracownicy z Pohulanki i innych wiosek, hitlerowcy zastrzelili kilka osób. Między innymi zginął Antoni Mazan z Buradowa i Suchodolski z Lasek, obaj sympatycy partyzantki.

Fragment przygotowywanej do druku książki o działalności partyzantów Gwardii Ludowej w lasach parczewskich.

Na Roztocze? Owszem, ale...

Romuald Wiśniewski

Rzeka Jeleń — Fot. J. Urban

W SZCZEBRZESZYNIE chrząszcz nie brzmi już w trzcinie. Rzekę Wieprz, malowniczą, jedną z najpiękniejszych w Polsce, krętą, tu wąską, tam szeroką, a płytko rozlaną, pełną zdradzieckich głębin, w wyniku robót melioracyjno-regulacyjnych wpuszczono teraz w zwykłe, równe koryto. Osuszono nadbrzeżne łąki. Nie ma mokradeł, nie ma trzciny, łatwiej o siano. A że krajobraz na tym stracił, nikt się nie przejmuje. Raz, że krajobrazów ładnych tu nie brak, dwa, że i tak nikt z nich nie żyje.

Szczebrzeszyn leży o 90 km drogi dobrej klasy na południe od Lublina i jest jedną z bram na Roztocze. A Roztocze to region geograficzno-przyrodniczy, zaliczany do najciekawszych w Polsce. Wał wzniesień biegnący z północnego zachodu na południowy wschód, między Kotliną Sandomierską a Wyżyną Lubelską, a dalej, już na terenie Związku Radzieckiego. Polskie Roztocze leży głównie w granicach administracyjnych województwa lubelskiego (tylko drobna część jest w rzeszowskim) i stanowi 6,77 proc. powierzchni tego województwa, co daje w sumie 1 680 km kwadratowych. Najwyższe wzniesienia dochodzą do 400 metrów nad poziom morza (Krągły Goraj — 390, Wielki Dział — 390, Wapielnia — 385), różnice poziomów na niewielkich odcinkach do 120 m. Budowa geologiczna zróżnicowana: margle, opoka, wapienie, piaskowce. Liczne rzeki i strumienie z mnogością małych wodospadów. I lasy, lasy. Jodły, buki, graby. Spotyka się tu wiele roślin północnych, nie występujących dalej na północ. Flora jest odrębna od pozostałej części Polski, ma wyraźne związki z florą Podola i Płyty Rosyjskiej. Od dawna istnieją rezerwaty Bukowa Góra, Nart-Czerkies i Kosobudy. Przewiduje się utworzenie Zwierzynieckiego Parku Narodowego.

Ale o walorach Roztocza mało wie się w Polsce, bo niby skąd wiedzieć? Podręczniki szkolne zaledwie o nim wspominają. Jedynie mieszkańcy Lubelszczyzny są jako tako informowani przez miejscową prasę. Lat temu osiem Tadeusz Gwardak na łamach „Sztandaru Ludu" wszczął batalię o popularyzację Roztocza. Pisali potem inni autorzy — w „Kurierze", w „Kamenie", czasem nawet w prasie warszawskiej. O jakichś rajdach, zlotach turystycznych, wczasach pod gruszą. Ale czy ktoś, kto nigdy tam nie był, może wiedzieć co z tego pisania o pięknie Roztocza jest prawdą, a co tylko propagandą dla ściągnięcia turystów?

Oczywiście Roztocze od dawna, od przedwojny, ba, od początków stulecia, czy może nawet od końca ubiegłego wieku, miało swoich miłośników, którzy zjeżdżali tu na wywczasy. Dziś wypoczywa tu znacznie więcej ludzi niż kiedykolwiek przedtem. Lecz zważywszy na niezwykły rozwój turystyki w ostatnim dziesięcioleciu, na przedłużenie się urlopu i w ogóle wzrost wolnego czasu, na wynikającą z rozwoju cywilizacji coraz większą potrzebę wypoczynku w warunkach wygodnych, ale otoczeniu zbliżonym do naturalnego — Roztocze być może mniej odpowiada aktualnym potrzebom w tym względzie, niż odpowiadało dawniej. Statystycznie wygląda to nieźle: znajdują się tu prawie 2 tysiące miejsc noclegowych. Jakież to jednak miejsca? Kolonie letnie w szkołach, czynne tylko w lipcu i sierpniu. Kilka kolonii domków campingowych, o również ograniczonym czasie korzystania, przy czym niedostępne dla zwykłego, indywidualnego turysty. Kilka schronisk szkolnych — poza wyjątkami czynnych tylko w okresie letnim. I kilka zaledwie stacji turystycznych prowadzonych na zasadach ajencji, — pokoje wieloosobowe, łóżka piętrowe, ot, żeby przyjechać grupą, przespać się i pojechać dalej. Urlopowicz pojedynczy, czy też z rodziną, jeśli chce tu zatrzymać się na dłużej, musi szukać miejsca w prywatnych kwaterach.

Oto właśnie Szczebrzeszyn. W kontraście z brudnym Lublinem nieprawdopodobnie czyste miasteczko. Takie przynajmniej odnosi się wrażenie przejeżdżając głównymi ulicami. Posprzątane, pozamiatane, krawężniki świeżo wybielone wapnem. Przed wojną Szczebrzeszyn liczył 8 tysięcy mieszkańców. Teraz tylko 5 tysięcy, a i to łącznie z dwoma wsiami, traktowanymi jako przedmieścia: odległą o 7 km, położoną wśród wąwozów lessowych Szperówką i odległym o 4 km Błoniem. Samo miasteczko ma zaledwie 2 tys. mieszkańców. W dwóch stojących tu kościołach katolickich wmurowane są tablice z niekończącą się ilością nazwisk szczebrzeszynian poległych z rąk okupanta. Po wymordowanej przez Niemców ludności żydowskiej pozostał ślad w postaci zabytkowej synagogi, która starannie odremontowana mieści w sobie obecnie dom kultury. Natomiast czwarta z tutejszych świątyń, cerkiew z roku 1560, zamieniona na magazyn złomu, nie konserwowana należycie, rozsypuje się w oczach, grozi zawaleniem.

Pod restauracją „Przystań" nie ma miejsca na postój samochodów. Restauracja jest czysta, duża (120 miejsc), obsługa szybka, jedzenie niezłe. Razem z gospodą „Podgrodzie" (60 miejsc) szczebrzeszyńska gastronomia może wydać do 750 obiadów dziennie. Lecz człowiek nie tylko je. Ustęp na podwórzu za „Przystanią" (kawał drogi do niego) jest zaniedbany, obfajdany, wieczorem nie oświetlony. Baru mlecznego brak. Kawiarenka jest maleńka. Pytam kelnerki, gdzie tu można wynająć pokój na lato. U ludzi — powiada. Popytać, a zawsze znajdzie się chętny. Może nawet ona sama by się zdecydowała. Pisze mi na serwetce swój adres.

Innych możliwości niż prywatnie nie ma. Hotelik komunalny to krańcowy prymityw, 12 łóżek w trzech pokoikach bez wygód. Schronisko turystyczne młodzieży szkolnej dla 50 osób organizowane jest na wakacje. Pola namiotowego nie ma. Pławić się można w Wieprzu, lecz tylko na własną odpowiedzialność, a de facto to nawet nielegalnie, gdyż kąpieliska strzeżonego nie ma, natomiast nad rzeką stoją tablice zakazujące tej przyjemności. Urzędowo dozwolony kontakt z wodą ogranicza się zatem do możliwości pływania kajakiem, który można dość łatwo wypożyczyć, gdyż Prez. MRN zakupiło 10 sztuk tych jednostek. Dawniej Wieprz był tu bardzo rybny, po regulacji i melioracji rzadko coś trafia na haczyk wędkarzy. Cóż więc przygotowano tu dla przybyszów? Władze miejskie mają dobre chęci, ale nie mają możliwości i pieniędzy.

Marian Zacharczuk, kierownik Rejonowego Ośrodka Kultury i Zygmunt Bryłowski, emeryt, opracowali folder o miasteczku i okolicy, niestety, nie mogą znaleźć chętnego do wydania go. Szczebrzeszyn ma na swoim koncie dwa fakty kulturalne popularyzujące go: „Pamiętnik z lat okupacji" pióra Zygmunta Klukowskiego oraz „Kardiogram", film w reżyserii Romana Załuskiego, nakręcony w tutejszym plenerze i tutejszych wnętrzach. Wszakże nie zastąpią one przewodnika i map.

A jednak ludzie przyjeżdżają tu na urlopy i wakacje. Latem dużo obcych na rynku, nad rzeką, w okolicznych lasach i na okolicznych wzgórzach, tłoczą się w restauracji i kawiarni. Ilu ich przyjeżdża — nie wiadomo, nie ma tu żadnej placówki, która by dysponowała adresami wolnych noclegów, organizowała jakoś ten ruch, udzielała informacji i pomocy przybyszom, trudno więc o jakąś realną statystykę. Miejscowi działacze twierdzą, że gdyby jakaś duża fabryka wybudowała u nich dom wczasowy czynny cały rok, zaktywizowałoby to turystycznie całe miasteczko. Bo tak jedni mają możliwość trzymania wczasowiczów u siebie na kwaterze, ale nie mają chęci i czasu zajmowania się nimi, inni mają czas i chęci, lecz nie mają kwater. A wypoczywać można tu cały rok, wiosną i jesienią jest równie uroczo jak w lecie, w zimie zaś panują dobre warunki narciarskie, nieporównanie lepsze niż w Lublinie czy Warszawie. Nie bez powodu Warszawski Okręgowy Związek Narciarski od lat swe mistrzostwa organizuje w Szczebrzeszynie. Ile się to wtedy nagłowią gospodarze terenu, gdzie ulokować zawodników i towarzyszące im osoby. Część jeździ nocować aż do odległego o 22 km Zamościa. Szkoda, że rozpoczęta przed paru laty budowa skoczni narciarskiej nie może być z powodu braku funduszów zakończona. Niechby nawet taki duży ośrodek wczasowy zbudowano nie u nas, a w sąsiednim Zwierzyńcu, też znaczyłoby to dużo, mówią miejscowi.

Ze Szczebrzeszyna do Zwierzyńca 9 km. Droga wąska, nawierzchnia bardzo dobra. W jedynej restauracji „Roztocze", dość obszernej, teraz, przy końcu marca, pustawo. Panowie popijają piwo z tutejszego browaru, znakomite, niewiele ustępujące „Żywcowi" czy „Okocimowi" — to zasługa wody i długiej tradycji miejscowych piwowarów. Zwierzyniecką modą piwo zmieszane jest z sokiem wiśniowym. Gdy przyjdzie lato, na miejsce przy stoliku i obiad trzeba czasem poczekać dłużej niż godzinę.

Gdzie mieszkają letnicy? Prywatnie. Państwo Janina i Jan Rączkiewiczowie prowadzą w swej willi stację turystyczną PTTK o 50 łóżkach. Sale zbiorowe, łóżka piętrowe, łazienki z ciepłą wodą. Niby dużo, ale utrzymania nie da i pan Rączkiewicz musi jeszcze pracować zawodowo w leśnictwie. W stacji ruch jest nierównomierny. W jednych miesiącach pustki całkowite, w innych — komplety, w jeszcze innych — pełno tylko w soboty i niedziele. Willa Rączkiewiczów stoi tuż nad Wieprzem, lecz rzeka tu tak zaniedbana, że nie ma mowy o kąpieli. Temu celowi służy staw „Echo", położony około pół kilometra stąd, w lesie. Pięknie: las i woda. W pobliżu rozłożyło się osiedle domków campingowych WZSP. Niestety, zupełna tandeta, miejsc niewiele, teren zajęło olbrzymi, a czynne tylko latem. Kto chce spędzić wakacje w Zwierzyńcu, a nie jest pracownikiem WZSP, może wynająć sobie na własną rękę pokój w cenie ok. 1200 zł miesięcznie. W pobliskiej wsi Obrocz (sceneria jeszcze piękniejsza) biorą 1000 zł.

Rozmawiam z mieszkańcami Zwierzyńca. Odczuwają zainteresowanie Lublina, Warszawy czy Zamościa ich osadą lecz tylko w pełni lata lub w pełni zimy. Czy im to coś daje? Niewiele. Latem roboty jest i tak pod dostatkiem: w polu i w okolicznych lasach. A kto szuka pracy, idzie do fabryki mebli czy gdzie indziej, bo z turystów zarobek jest okresowy, tymczasem jeść trzeba przez cały rok. Podobno w roku 1973 mają wybudować w Zwierzyńcu dom wycieczkowy PTTK. Wtedy znalazłaby się stała robota dla kilkudziesięciu osób. Gdyby tak jeszcze — marzą — ktoś zbudował tu dom wczasowy, czynny cały rok; tu albo w Szczebrzeszynie, albo w Józefowie...

Józefów leży 18 km na południe od Szczebrzeszyna (pieszym szlakiem turystycznym, ścieżką, cały czas przez lasy jest 22 km). To już powiat biłgorajski, Szczebrzeszyn i Zwierzyniec leżą w zamojskim. Plagą ludzi wypoczywających tu był brak odpowiedniego punktu zbiorowego żywienia. Przed kilkoma miesiącami Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska", otwarła w Józefowie jeden z największych zakładów gastronomicznych w województwie, mieszczący na parterze restaurację o 100 miejscach, a na piętrze tej samej wielkości kawiarnię. Jest tu jeszcze dość duża stara gospoda.

Beznadziejnie natomiast wygląda sprawa kwater. Pani Maria Turzyniecka prowadzi w swoim domu schronisko PTTK, 10 łóżek, ale w sytuacji bez wyjścia przenocuje i 20 osób. Schronisko szkolne, kierowane przez p. Józefa Jóźwiaka, czynne od kwietnia do końca września, dysponuje dwoma salami po 20 łóżek każda. To wszystko. Był tu jeszcze ogólnie dostępny ośrodek wypoczynkowy POSTiW, składający się z domków campingowych, położonych nad zalewem nad rzeką Nepryszka. POSTiW wynajął raz ośrodek na dwa tygodnie Instytutowi Maszyn Matematycznych z Warszawy, a instytut już potrafił załatwić sobie u odpowiednich władz centralnych decyzję o przejęciu tego ośrodka na stałe. POSTiW w Biłgoraju ma jeszcze podobny ośrodek w Harasiukach, nad rzeką Sopot, o najcieplejszej podobno wodzie w Polsce, ale co to jest te sto kilkadziesiąt miejsc? Więc choć nie zawsze wszystko w ośrodku zapięte jest na ostatni guzik (w roku 1971, gdy padało, dachy przeciekały), żeby dostać tam miejsce, trzeba mieć szczęście, a może i znajomości.

Wynajęcie pokoju w Józefowie kosztuje od 500 zł wzwyż, czyli stosunkowo tanio. Być może dlatego, że tu co się ruszyć są wsie o wyjątkowych walorach turystyczno-wypoczynkowych. 16 km do słynnego Suśca (już powiat tomaszowski), w którym kolejarze mają wczasy w starych wagonach kolejowych, 6 km do pięknie położonej wsi Hamernia nad rzeką Sopot, niedaleko Górecko Stare nad rzeką Szum, niedaleko rzeki Jeleń i Tanew. Z Józefowa do Krasnobrodu, w którym znajduje się znane sanatorium prewencyjne dla dzieci, jest 16 km. Wzgórza, duże różnice poziomów, dookoła lasy, świetny klimat i piękne krajobrazy — oto zalety Krasnobrodu. Cóż z tego, skoro i tu brak jakiejkolwiek bazy lokalowej — poza koloniami, organizowanymi w szkołach. Na przedmieściu Krasnobrodu, noszącym nazwę Podzamek, znajdują się stare budynki będące pozostałością folwarku senatora Fudakowskiego. Niestety, budynki są w bardzo złym stanie, a ich użytkownicy, dawna służba Fudakowskiego, ani nie kwapią się z remontami, ani nie budują sami.

Piękna Roztocza nie podejmuję się opisać. Kto nie był, może nie uwierzyć. Kto był, nie musi być przekonywany dodatkowo. Tych, którzy byli, jest sporo, lecz niewspółmiernie mało do potrzeb i możliwości.

O Roztoczu pisze się i mówi dużo, ale wystąpień tych nie należy traktować zbyt poważnie. Wczasy i turystyka tu organizowane nie mają dotychczas na ogół żadnego poważniejszego znaczenia gospodarczego dla regionu. Toteż mieszkańcy nie na wakacyjnych przybyszach z zewnątrz opierają swe plany poprawy bytu. Prędzej byliby skłonni widzieć u siebie jakiś potężny zakład produkcyjny; niechby nawet zatruwał okolicę swymi wyziewami, ale niechby dawał zatrudnienie.

Cóż bowiem przynoszą turyści? Jakieś ożywienie, to pewne, choć jest to raczej ożywienie towarzyskie, obyczajowe, powiew szerszego świata. Istnieje możliwość zarobku przy obsługiwaniu ich. Sęk w tym, że ta możliwość wyłania się w miesiącach letnich, gdy na prowincji i tak brak rąk do pracy na roli, pracy lepiej płatnej niż przy obsłudze wczasowiczów. W pozostałych porach roku Roztocze na ogół jest martwe.

Pięknych terenów o wysokich walorach turystycznych, nie skażonych przez przemysł, posiadamy w Polsce tylko ograniczoną ilość. Roztocze ma zalety umożliwiające wypoczynek przez cały niemal rok. Jeśli jednak chce się mówić o racjonalnym wykorzystaniu go, nie można przemilczeć konieczności pewnych podstawowych inwestycji. Do nich należy zaliczyć budowę 2—3 domów wczasowych czynnych przez cały rok. Powinny one stać w pobliżu siebie, aby urządzenia towarzyszące każdego z nich służyły wszystkim wczasowiczom. W ten sposób przy jednym domu może być basen kąpielowy, w innym kino lub kort tenisowy, w innym coctail - bar i czytelnia itd. Utworzy się ośrodek wczasowy, dający zatrudnienie przez cały rok, wokół niego powstanie otoczka w postaci kwater prywatnych, kawiarenek, producentów warzyw, taksówkarzy itp.

Do niedawna mówienie o inwestycjach socjalnych było bajką o żelaznym wilku. Dziś, gdy sytuacja się zmieniła, można spodziewać się, że gdy któraś większa instytucja rozglądać się będzie za ładnym miejscem na ośrodek wczasowy, Roztocze nie zostanie pominięte. Rzecz wszak w tym, by przyszłe inwestycje nie zostały rozproszone: jedna w Józefowie, druga w Suścu, trzecia w Krasnobrodzie, gdyż efekt ich będzie wówczas znacznie mniejszy.

Tereny Roztocza należą do kilku powiatów. To oczywiste, że każda władza powiatowa widziałaby u siebie bardzo chętnie taki całoroczny ośrodek. Metodą każdy sobie nic się jednak nie zdziała, konieczne więc będą decyzje władz wojewódzkich, która z miejscowości na Roztoczu ma być najpierw podniesiona do wczasowiska pierwszej rangi, a która musi poczekać do lat przyszłych. Wymagać to będzie zrozumienia tych, którzy zaliczeni zostaną do dalszej kolejności. Wymagać to będzie też stanowczości wobec kandydatów na inwestorów, mogących straszyć: „Jak nie pozwolicie nam budować się tu gdzie chcemy, to w ogóle zrezygnujemy z Roztocza i ulokujemy się w Bieszczadach".

Na razie Roztocze jest krainą dziką, z uprawianymi tu na dziko turystyką i wczasami. W ubiegłym roku Mirosław Derecki napisał w „Kamenie" reportaż pod tytułem „Na Roztocze jedź z namiotem". Tytuł ten nie stracił na aktualności.

Zwierzyniec — Fot. Z. Zugaj

Kaleka z Przewłoki

Jerzy Dostatni

PRZED klub „Rolnika" w Przewłoce zajechaliśmy z pewnym opóźnieniem. Pan Stanisław Waszkiewicz, niezależnie od formalnej funkcji spełniający rolę wiecznie fermentujących drożdży w parczewskim PDK, podliczając koszty sprowadzenia prelegenta z Lublina doszedł do słusznego wniosku, że jednego wieczora trzeba „załatwić" dwa spotkania. Ale pierwsze w sąsiedniej wsi zaczęło się z godzinnym opóźnieniem całkiem po prostu z braku słuchaczy. Zamiast o 17, zaczęli przychodzić gromadnie o 18. W mieście rytm życia wielu ludzi regulowany jest zebraniami. Na wsi odwrotnie — zebranie musi dostosować się do rytmu życia nie tyle mieszkańców, ile gospodarskiego dobytku — krów, świń, owiec czy nawet drobiu. Ludzie mogą nie zjeść, nie wyspać się, nie mieć czasu na zamianę zabrudzonych walonek — ale zwierzęta muszą być oporządzone i nakarmione niemal z astronomiczną punktualnością. Nawet dziesięciu prelegentów z dwudziestoma tytułami i funkcjami musi cierpliwie czekać — albo odjechać.

Ale potem jest już wolny czas i przy telewizorze (czynnym!) można poczekać nawet godzinę. Więc w Przewłoce nikt się na nas nie oburzał.

Mówię o ostatnim programie rozwoju gospodarczego naszego województwa, oczywiście na tle ogólnych zmian w kraju. Jeszcze przed dwoma, trzema laty rzadko kiedy udawało się wywołać prawdziwą dyskusję. Ludzie nie zadawali zbyt niedyskretnych pytań, prelegenci też pilnowali się, aby język nie zaplątał się w pewne sprawy. Teraz mówimy o wszystkim: o zakończonej właśnie w Przewłoce komasacji gruntów, która nie zadowoliła jakiejś wdowy, zniesieniu dostaw obowiązkowych i nowych cenach skupu żywca, braku wąskich siewników i nasion kwalifikowanych, ucieczce młodzieży ze wsi i podupadaniu coraz większej liczby gospodarstw...

Wkrótce okazuje się, że chłopi znają doskonale wszystkie najnowsze decyzje partii i rządu, nie mają natomiast pojęcia o zniesieniu kilku tysięcy uchwał władz terenowych, uchwał, które właśnie im dotychczas tak skutecznie utrudniały życie. Orientują się doskonale w zmianach personalnych na szczeblu centralnym, ale nie wiedzą nawet, że mają nowego przewodniczącego Prezydium PRN. Pochwalają dobór nowych ludzi gdzieś tam „u góry", ale nie wierzą, że to właśnie oni i tylko oni powinni zadecydować o ewentualnej zmianie prezesa miejscowego kółka rolniczego, który nie wszystkim się podoba. Potwierdzają, że sklepy są znacznie lepiej zaopatrzone, że poważnie zmniejszyły się kłopoty z nabyciem materiałów budowlanych i nawozów sztucznych, cieszą się wreszcie z przyznania im prawa do bezpłatnej opieki lekarskiej twierdząc słusznie, że są tak samo potrzebni krajowi jak robotnicy w przemyśle — ale nie bardzo wierzą, że ta opieka lekarska, przynajmniej w pierwszym okresie, będzie rzeczywiście bezpłatna...

Gdy mówimy o perspektywach rozwoju lubelskiego rolnictwa, o jego hamulcach w postaci ogromnego rozdrobnienia gospodarstw i ucieczce młodych do miast, wstaje jakiś przygarbiony wiekiem i trudami życia chłop — dotychczas rozmawialiśmy wszyscy na siedząco — nie wiadomo dlaczego pokazuje na mnie rosochatym palcem i powiada:

— Tak nam pan tu okrągło gada, a trzeba powiedzieć prosto: tacy jak ja niedługo potrafią sami gospodarzyć, a dzieci już uciekły do miasta. Jest tylko jedno wyjście: przekazać ziemię państwu. Ja tam nic boję się spółdzielni, chociaż dawniej różnie z tym bywało. Chodzi tylko o to, że w spółdzielni też nie mógłbym już dobrze pracować. Ziemię i budynki przekazałbym do kółka, gdybym dostał odpowiednią rentę.

Zaledwie usiadł, gdzieś spod drzwi wyskoczył na środek sali człowiek w średnim wieku i krzyknął w stronę siedzącego pod bufetem blondyna, również w średnim wieku, który dotychczas nie przejawiał większego zainteresowania ani prelekcją ani dyskusją:

— Ludwik, chodź tu do redaktora i pokaż się, chodź, nie krępuj się.

Blondyn poniósł się natychmiast, ale zaraz jakby zachwiał się, na chwilę oparł się o ladę, potem, z widocznym trudem pociągając nogami, podszedł do mojego stolika i wolno usiadł na podsuniętym mu przez kogoś krześle. Niezbyt posłuszne nogi poprawił rękami, z których jedna też była wykrzywiona i spojrzał na mnie wyblakłymi, smutnymi, a przecież — widać to było wyraźnie — pełnymi nadziei oczami. Z chwilowego zakłopotania wybawił mnie ten, który przed chwilą wołał: Ludwik, chodź...

— To Ludwik Bodziak, a ja jestem tu nauczycielem, nazywam się Jan Abramczuk, tak samo jak przewodniczący Prezydium GRN — dodał nie wiadomo dlaczego. — Chciałem opowiedzieć panu sprawę, która nadaje się nie tylko do opisania, ale przede wszystkim do załatwienia, chociaż od dwudziestu lat nikt jej załatwić nie chce...

Dochodziła już niemal północ, gdy zostałem wtajemniczony niemal całkowicie w sprawę Ludwika Bodziaka. Ponieważ jednak usłyszane informacje trzeba było jeszcze uzupełnić, a niektóre sprawdzić, umówiliśmy się na ponowne spotkanie za kilka dni. A oto niezwykła i wyjątkowa, ale właśnie dlatego konieczna do załatwienia sprawa Ludwika Bodziaka.

Z początkiem września 1948 roku 18-letni Ludwik został junakiem Służby Polsce. Młodszym czytelnikom trzeba powiedzieć, że była to organizacja młodzieżowa przygotowująca do pracy zawodowej i obrony kraju, a istniała w latach 1948—1955. Brygady SP pracowały głównie na wielkich budowach socjalizmu (np. Nowa Huta, Kędzierzyn), przy budowie kopalń, dróg, linii kolejowych itp. Praca w SP była obowiązkowa. Organizacja ta położyła bardzo duże zasługi w odbudowie i budowie naszego kraju w trudnych, powojennych latach.

Ludwik został wcielony do 11 brygady SP, pracującej w Dworach koło Oświęcimia przy budowie zniszczonej przez Niemców fabryki chemicznej. Były to czasy niewątpliwego bohaterstwa pracy, jednak w straszliwie zniszczonym kraju warunki tej pracy były jeszcze często bardzo prymitywne. Nic więc dziwnego, że całą brygadę zakwaterowano w namiotach, które w dodatku ustawiono blisko fabrycznego gruzowiska, ale na nieco podmokłym terenie.

Tego roku w Oświęcimiu nie było złotej jesieni. W dzień drelichowe mundury nie bardzo chroniły przed deszczem, w nocy dwa koce nie bardzo wystarczały na ochronienie ciała przed zimnem i wilgocią. Olbrzymia większość młodych organizmów łatwo znosiła te trudy, ale byli i tacy, którzy zaczęli chorować. Może zresztą zaczątki choroby nosili w sobie wcześniej, przed przybyciem na obóz, ale tego nikt nigdy nie sprawdził.

Ludwik Bodziak na początku należał do wzorowych junaków. Teraz z jakiejś skrytki wydobywa pomięty, zżółkły już papierek, którego treść można jednak łatwo odczytać: *Zaświadczenie tymczasowe nr 148 III/III/4 — Rozkazem nr 5 Spec. z dnia 30.10.48, komendanta 11 brygady st. junak Bodziak Ludwik został nagrodzony odznaką brązową za pracę fizyczną III stopnia — Ronin Walknowski — kapitan.*

Jednak po dwóch miesiącach pracy Bodziak zaczął narzekać na coraz silniejsze bóle reumatyczne. Dostawał zwolnienia lekarskie na dzień, dwa, a gdy szedł pracować, jego wydajność była bardzo niska. Coraz trudniej poruszał nogami, nie mógł się schylać, nawet dwie cegły okazywały się ciężarem ponad siły. Więc wraz z grupą kilkunastu junaków został odesłany do domu. W tych czasach nie było jeszcze dobrze zorganizowanej służby zdrowia, nikt nie badał odjeżdżających, po prostu wydano im bilety kolejowe i porcje żywności na drogę.

Warunki w domu też nie były dobre, w dodatku zamiast wypoczywać i leczyć się, Ludwik musiał pomagać rodzicom w prowadzeniu gospodarstwa. Nic dziwnego więc, że choroba posuwała się dalej. W styczniu 1949 roku stan Ludwika pogorszył się tak dalece, że ojciec — przeniósłszy Ludwika na własnych rękach do wozu — zawiózł go do szpitala w Lublinie. Dziś nikt z rodziny nie potrafi powiedzieć, jaki to był szpital i który lekarz zajmował się chorym. A ponieważ za pobyt w szpitalu trzeba było płacić tysiąc złotych dziennie (tysiąc zł starej waluty), co wtedy nie było mało — po tygodniu ojciec zabrał nieco tylko podleczonego syna do domu. Ale wkrótce nastąpił nawrót wszystkich dolegliwości, nawet w większym natężeniu niż poprzednio. Przez prawie dwa lata Ludwik nie podnosił się z łóżka, spędzając dni na rozmyślaniach lub oglądaniu skrawka światła przez małe okno ojcowskiej chaty. Nie mógł nawet czytać książek i gazet. Lata szkolne przypadły na czas okupacji. Miejscowa szkoła była wprawdzie czynna, ale chodziło się do niej tylko podczas zimy, w innych miesiącach trzeba było pracować na ziemi. Ludwik stał się po prostu wtórnym analfabetą.

Po dwóch latach nieco się polepszyło i Bodziak na nowo zaczął uczyć się chodzenia. Był już kaleką i żadne leczenie nie rokowało większych nadziei. W lipcu 1953 roku Obwodowa Przychodnia Specjalistyczna w Białej Podlaskiej stwierdza u niego *przewlekły stan zapalny stawu biodrowego lewego i zesztywnienie — utracił 55 proc. zdolności do pracy* — przy czym lekarz nie wypełnił rubryki, na jaki okres ta utrata zdolności nastąpiła, prawdopodobnie był przekonany, że na zawsze. Zresztą nie mylił się.

— Gdy wracałem z Oświęcimia do domu — powiada Ludwik — nie dano mi żadnego zaświadczenia o chorobie. Zresztą i sam myślałem, że to szybko przejdzie. Z chwilą zwolnienia z SP skończyło się ubezpieczenie chorobowe i potem za wszystko trzeba było płacić, a pieniędzy w domu nie było. Jakiś czas po powrocie z Białej zacząłem starać się o odszkodowanie lub rentę. Ale w powiecie powiedzieli mi, że to wroga działalność, bo Służbie Polsce można zawdzięczać tylko tężyznę fizyczną a nie kalectwo. Dałem więc spokój, bo przecież nie byłem wrogiem, tylko chorym i to wyjątkiem.

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Ludwik Bodziak przy pomocy swego kolegi, dziś nauczyciela w tejże Przewłoce — Jana Abramczuka, zaczął znów szukać pomocy w uzyskaniu renty za utracone zdrowie. Związek Inwalidów w Lublinie odpowiedział krótko, że sprawa jest przedawniona. We wrześniu 1962 roku Archiwum Akt Dawnych w Warszawie, gdzie odnajdują się dawne akta SP, zawiadamia Prezydium PRN w Parczewie, że *załącza przy nin. sprawę ob. Ludwika Bodziąka do załatwienia wg właściwości* — ale na tym się owe załatwianie kończy, nikt dalej się nie odzywa. Fala 56 odpowiada, że żadnych dokumentów w Warszawie nie ma, bo przesłano je do Krakowa, ale z Krakowa nadchodzi odpowiedź, że sprawę *przesłano przez rzeszoto i nic nie zostało* — czego do dzisiaj nikt nie rozumie.

I wreszcie w grudniu 1971 roku Ludwik Bodziak ręką swojego przyjaciela pisze skargę do Komitetu Centralnego PZPR. Po dwóch tygodniach otrzymuje odpowiedź, że jego list w sprawie przyznania renty przesłano do Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w Warszawie, który udzieli odpowiedzi.

I rzeczywiście — 8 lutego 1972 roku Bodziak otrzymuje list (Rs 561-419/72) następującej treści:

...ZUS zawiadamia, że Prezes Zakładu może przyznać rentę wyjątkową osobom, które: — wskutek szczególnych okoliczności nie nabyły uprawnień do renty ustawowej, a ponadto osoby te nie mają własnych niezbędnych środków utrzymania, ani nie mają osób zobowiązanych do alimentacji. Obywatel nie odpowiada wymienionym warunkom, ponieważ pozostaje na utrzymaniu rodziców, którzy posiadają gospodarstwo rolne i mogą zapewnić Obywatelowi środki utrzymania.

St. radca — Barbara Pomaska

Trudno zgodzić się zarówno z decyzją prezesa ZUS jak i przytoczonymi przez st. radcę argumentami. Z wielu powodów.

Przede wszystkim ZUS nie podważa zdania skarżącego się, że jego choroba i kalectwo zostały spowodowane pobytem w obozie SP. Zresztą o prawdziwości tego faktu mogą zaświadczyć wszyscy dorośli mieszkańcy Przewłoki, a także Seweryn Ostapiuk z Przewłoki i Mieczysław Romaniuk ze wsi Kopina, którzy jako junacy pracowali razem z Bodziakiem w Oświęcimiu, a Romaniuk przez cały czas spał z nim na jednym łóżku.

Bodziak istotnie ma rodziców, którzy go utrzymują. Rodzice posiadają gospodarstwo o powierzchni 7,23 ha. Niby dużo, ale tak wygląda z daleka. Ojciec ma 76 lat, matka 74 i tylko oni przy pomocy syna-kaleki prowadzą owe gospodarstwo. Składa się ono z 6 kawałków położonych w 6 miejscowościach w promieniu 10 km od Przewłoki. Wszystko to powoduje, że gospodarstwo jest mocno podupadłe, o czym świadczy jeszcze chociażby to, że cała hodowla obejmuje zaledwie dwie marne krowy i trzy świnie, drewniane zabudowania gospodarcze rozpadają się, dom mieszkalny jest wprawdzie murowany, ale bardzo zaniedbany.

Gdyby decyzja prezesa była oparta nie na papierkach, ale na rozpoznaniu rzeczywistej sytuacji gospodarstwa jak i rodziny, byłaby ona niewątpliwie inna. Ojciec Bodziaka wykazuje objawy — delikatnie mówiąc — pewnych zaburzeń psychicznych. Gdy rozmawiałem z nim miał całą głowę obandażowaną — kilka dni przedtem zupełnie bez powodu poderwał się od stołu, wybiegł na podwórko i wskoczył do płytkiej na szczęście studni. Podobnych dziwnych wypadków było więcej.

Gdyby odpowiedzialny pracownik prezesa ZUS przyjechał na miejsce przekonałby się, że to nie tyle rodzice Ludwikowi, ile raczej Ludwik-kaleka daje rodzicom co bardziej konkretne warunki utrzymania, bo jeżeli nawet przyjmiemy owe 55 proc. utraty zdolności do pracy, to przecież daje on z siebie więcej niż każdy z rodziców-staruszków o bardzo zresztą prymitywnej — jak by tu powiedzieć? — strukturze wewnętrznej, nie mówiąc o prawie żadnych już siłach fizycznych.

Trzeba się także realnie liczyć z tym, że każdego dnia w rodzinie Bodziaków może zdarzyć się nieszczęście. I nawet jeżeli Ludwik odziedziczy taką czy inną część gospodarstwa, to przecież nie będzie zdolny do zapracowania na siebie.

Jest jeszcze jeden moment niezwykle ważny politycznie i społecznie. Nie tylko sam Ludwik i jego rodzice, nie tylko nauczyciel Abramczuk i koledzy Ostapiuk oraz Romaniuk, ale dosłownie wszyscy mieszkańcy Przewłoki są święcie przekonani, że Ludwikowi Bodziakowi należy się renta inwalidzka. Znają fakty z przeszłości i znają sytuację obecną. Myślę, że z opinią całej wsi też warto się liczyć, nawet jeżeli po latach brakuje takich czy innych papierków, jeżeli z formalnego punktu widzenia nastąpiło przedawnienie. Korzyść społeczna z przyznania renty inwalidzkiej w trybie nadzwyczajnym będzie bez porównania większa niż kilkusetzłotowa oszczędność miesięcznie.

Mieszkańcy Przewłoki powiadają, że drogą przechodzącą przez ich pola, dziś pokrytą ładnym asfaltem, swego czasu Rzędzian wiózł związanego Bohuna. Byłoby rzeczą piękną i społecznie słuszną — powiedział mi na zakończenie nauczyciel Abramczuk — gdyby tą samą drogą wysłannik prezesa ZUS wywiózł spętaną biurokrację.

Towarzyszka snów

Ciąg dalszy ze str. 1

Marta to odnaleziona Hermina, matka pisarza, której futro owiane „zapachem śnieżnego powietrza" na zawsze utkwiło Robertowi w pamięci. Dlatego Musila z 1907 roku ogarnia „taki łagodny i cichy nastrój", dalekie echo dzieciństwa, kiedy to jeszcze bez późniejszych zadrażnień pławił się w cieple matczynej czułości. Ale zacytowany fragment jest tylko drobną wskazówką, istnieją dużo ważniejsze.

Już sam fakt, że Musil wybrał na towarzyszkę życia starszą od siebie kobietę, obdarzoną zmysłem opiekuńczym i zdolną do wielkich poświęceń, ma nie byle jaką wymowę. Autorzy wspomnień o Musilach z reguły podkreślają, że pisarz we wszelkich sprawach codziennych poddawał się Marcie z kompletną uległością. Prawie nigdy nie pokazywał się bez niej, w sklepach i lokalach ona decydowała, ona płaciła, ona dysponowała pieniędzmi. W ogóle starała się chronić go przed życiowymi problemami i kłopotami, odgradzała go od nich jak matka. I tę matkę, tę macierzyńską przyjaciółkę, której mógł się poradzić również w zagadnieniach literackich i którą chciał mieć nareszcie wyłącznie dla siebie — co w wypadku Herminy było wykluczone — Musil kochał pełną zazdrości miłością, drżąc na myśl o jej utracie. W *Dziennikach* i na luźnych kartkach pisarz zanotował niejeden lękowy sen o zdradzającej go Marcie, niejedną obawę związaną z jej ewentualną niewiernością, zawsze możliwą, zawsze zagrażającą wobec temperamentu i dawnych przygód ukochanej. Jednocześnie jednak autor *Niepokojów wychowanka Törlessa* ze znaną nam dwoistością uczuć skrzętnie zapisywał wszystko, co ona mu o tych seksualnych przygodach opowiadała i co użytkował między innymi w noweli *Dopełnienie miłości (Die Vollendung der Liebe)* z tomu *Zespolenia*, w której postać Klaudyny, niewiernej żony i matki trzynastoletniej córki z poprzedniego małżeństwa, jest poniekąd psychologicznym portretem Marty.

Kamena str. 6

Rys. Marta Musil

Trudno obronić się przed wrażeniem, że erotyczne przeżycia starszych kobiet, żon i matek dzieciom, wywierały wręcz magiczny wpływ na wyobraźnię Musila. Nie można oczywiście utożsamiać pisarza z bohaterami jego dzieł, niemniej uderza, iż wykazują oni często wyraźną predylekcję do nie najmłodszych pań, które — jak Hermina i Marta — miały tak zwaną bogatą przeszłość. Najbardziej znamienny jest pod tym względem tekst p.t. *Podmiejska gospoda (Der Vorstadtgasthof)* a zwłaszcza kilka jego pierwszych, zaledwie naszkicowanych i nie opublikowanych redakcji, sięgających swymi początkami 1910 roku, czasów zatem, kiedy Marta była jeszcze prawnie żoną Marcovaldiego.

W jednej z takich wersji *Podmiejskiej gospody*, znalezionej przeze mnie wśród papierów rzymskiej spuścizny pisarza, zwraca uwagę następujący fragment, w którym młody mężczyzna powiada do swojej partnerki, przeszło czterdziestoletniej (w innym ujęciu prawie pięćdziesięcioletniej) mężatki: „Kocham właśnie twój wiek, te znamiona zużycia, żeby się tak wyrazić — zużycie samo... Ach, twoje łono, kiedy pomyślę, ilu już przede mną w nim się zanurzało, to wyobrażenie jak w nie przenikali jest niesamowicie piękne, niby stalaktyty w jaskini". Ale na tym nie koniec. Aby nie było żadnych wątpliwości, że dla bohatera opowiadania podstarzała kobieta gra też zastępczo rolę rodzicielki, której łono stanowi najlepsze, najbezpieczniejsze schronienie (patrz psychoanaliza: pragnienie powrotu do łona matki), młody człowiek identyfikuje się z jej synem: „I ty masz syna? On w tobie spoczywał. Gdy sobie tak myślę o twoim brzuchu, chciałbym czołgać się w jego wnętrzu na czworakach". Warto tu dodać, że również Bonadea, prowadząca bujne życie erotyczne kochanka Ulricha w *Człowieku bez właściwości*, jest „macierzyńską pięknością", posiada w sobie coś „macie-

Lubelski Lafcadio

10 listopada ub. roku duże poruszenie opinii publicznej wywołała wiadomość o napadzie na mieszkanie znanego w Lublinie lekarza, docenta Akademii Medycznej. Sprawcami napadu, którzy usiłowali zdobyć ponadto milion zł okupu od pobitej małżonki lekarza, byli dwaj studenci AM w Lublinie: 21-letni Benedykt Krówka z IV roku i 22-letni Ryszard Sikora z III roku. Sąd Wojewódzki skazał B. Krówkę na 10 lat pozbawienia wolności, a R. Sikorę na 7 lat pozbawienia wolności. Wyrok nie jest prawomocny.

Niżej drukujemy obszerne fragmenty z nagranej na taśmę magnetofonu rozmowy, przeprowadzonej w celi więziennej z Benedyktem Krówką. Sądzimy, że komentarz do jego specyficznie pojętej „filozofii życiowej" jest zbędny.

— CZY taki błąd może zdyskwalifkować człowieka zupełnie, zredukować do zera bezwzględnego? Ile pracy będę musiał włożyć, ażeby dobrnąć do przeciętnego poziomu? Jak tu zapomnieć o wolności, o przeszłości, a najbardziej o przyszłości? Tutaj człowiek gnuśnieje. Owszem, można czytać, ale tu są specyficzne warunki, zresztą ciągle myślę. Ja nie z tych, co potrafią przez cały dzień grać w warcaby czy domino. Jestem tu sam, zupełnie sam. Nie można znaleźć człowieka, z którym można by nawinąć jakąś znajomość... Nawinąć — już bezwiednie używam więziennego żargonu. W dodatku są ludzie, którzy zmuszają do tego: ty nie grypsujesz, ty robisz tak, ty robisz inaczej.

Patrzę na młodą, niemal chłopięcą twarz Benedykta Krówki, na drżące ze zdenerwowania dłonie. Oczekiwałem, że spotkam faceta o kanciastych, szorstkich rysach. A tymczasem — niespodzianka. Zresztą nie pierwsza. Jestem jeszcze pod wrażeniem wiadomości, która spadła na mnie tu, za więzienną bramą. Benedykt Krówka zamierza się żenić. I pomyśleć, że nie tak dawno krążyły fałszywe wieści, jakoby usiłował popełnić samobójstwo.

Tymczasem trwa monolog, z rzadka przerywany pytaniami.

— Przekreślone mam przed sobą życie. Dziesięć lat — lat najbardziej płodnych, w których zdobyłbym coś. Byłaby korzyść dla mnie jako jednostki, dla rodziny, a szczególnie dla społeczeństwa. Miałem się zająć medycyną teoretyczną, która pasjonowała mnie od młodych lat. Tymczasem wszystko skończyło się fiaskiem, tym bardziej gdy dowiedziałem się, że nie będę mógł kontynuować tego kierunku studiów, to jest najbardziej tragiczne. Cztery lata pracy, ciężkiej, bardzo ciężkiej nawet. Efekty były: dwa razy nagroda rektorska. Lubiłem pracę społeczną, byłem przewodniczącym Rady Wydziałowej ZSP. Owszem, miałem wyższe aspiracje, w tym roku miałem objąć przewodniczącego Komisji Zagranicznej Rady Uczelnianej, no i w przyszłości jeszcze dalej. Człowiek ciągle dąży do czegoś wyższego, nie poprzestaje na jednym sukcesie. Dalej, coraz dalej... Na procesie to wszystko zostało skierowane przeciwko mnie — że za tym parawanem ukrywałem się, że to się stało wielką przysłoną dymną, zza której mogłem działać jako zbrodniarz, bandyta.

— To co ludzi najbardziej zdumiewa, to chyba fakt, że jeszcze rok temu, gdyby wybierano najlepszego studenta Akademii Medycznej, jak to się mówi młodzieżowego bohatera roku, to miał pan wszelkie szanse ów tytuł zdobyć?

— Owszem, ten sam Krówka, nie wierzono. Podobno wielką sztuką jest przegrywać, ale to jest dla mnie straszne... Jak oceniam swój czyn? Już go oceniłem bardzo wcześnie, ale wtedy było za późno. Trudno się było wycofać po wejściu do mieszkania, już nie można było. Kobieta została przez nas napadnięta, człowiek brnie dalej, sam stara się okłamywać.

Czy kierowała mną chęć zdobycia pieniędzy, dużych pieniędzy? Nie można tego zanegować. Z drugiej jednak strony nie tylko to było przyczyną napadu... Ci ludzie, którzy nie rozumieją tego, uważają, że wyzwoliły się we mnie najbardziej niskie instynkty zwierzęce i może dobrze, że tak wcześnie. Co by było, gdyby miało to miejsce w przyszłości, gdybym był już lekarzem? Pewnie, nie można tego aprobować, jest to czyn straszny, po prostu straszny... Ale w tej chwili za późno płakać nad rozlanym mlekiem.

— Mimo to mówi pan z goryczą o opiniach innych?

— Tak, mam żal do ludzi, którzy tak zdecydowanie odsunęli mnie od siebie. No cóż, jako przewodniczący Rady Wydziałowej ZSP na pewno również, w pierwszym odruchu, potępiłbym kolegę za podobny czyn. Tak zrobi każdy, który nie miał nic z tym wspólnego. Nikt bowiem nie bierze pod uwagę, że dana sytuacja zmusza człowieka do określonego zachowania. Ale ci ludzie — powtarzam jeszcze raz — którzy nic mieli z tym nic wspólnego, którzy nigdy nie osiągnęli dna, nigdy takich jak ja nie zrozumieją, nigdy... Dlaczego inni nie dokonują takich czynów? Chyba najbardziej boją się nie czynu, a konsekwencji.

— Gdy pan szedł na Plac Litewski po odbiór obiecanych pieniędzy, czy wierzył pan, że będą?

— Byłem prawie przekonany, że nie. Z drugiej jednak strony ta kobieta nas upewniała, że przyniesie, więc wychodząc z założenia, że skoro przyniesie... Po prostu liczyliśmy w tamtym czasie, my jako złodzieje...

— ...na jej uczciwość?

— ...na jej uczciwość, a raczej lojalność wobec nas...

— Aczkowiek wy chyba niezupełnie byliście lojalni wobec niej?

— Oczywiście, oczywiście... I szedłem jak zahipnotyzowany, to trudno opisać. Każdy się temu dziwi: wszystko wszystkim, ale po coś tam szedł, po co?

— Z akt sprawy wynika, że już wcześniej popełnił pan czyn, który zasługuje na ogólną dezaprobatę.

— Tak, ale to nie z własnej winy. Właśnie złodziej był przyczyną późniejszego przestępstwa... Miałem rower składany i właśnie od niego się zaczęło. Błahostka, ludzie nie wierzą... Składałem na niego jeden rok, bo na studencką kieszeń dwa tysiące to niemały grosz... Był on dla mnie tym czymś, czym mogłem się poszczycić. Miałem go kilka miesięcy, wyposażyłem nawet w zamek automatyczny i mimo wszystko skradziono mi go. I właśnie od tego się zaczęło... Jakiś bunt wewnętrzny, który wyraził się w dążeniu: wet za wet. A tymczasem twierdzą, że to już nie było pierwszy raz, on już kiedyś przestępstwo popełnił, przestępstwo pospolite, później działał z premedytacją, a tym samym potępić go.

— Zabrał pan pieniądze młodszemu koledze, który starał się dopiero dostać na studia, który innych środków utrzymania nie miał.

— Tak, w tej chwili się tego wstydzę, boję się powracać nawet do tamtych chwil. Ale to jest jakiś odruch, człowiek ma jakąś żyłkę, tę przysłowiową żyłkę nie anatomiczną do posiadania czegoś, do zagarniania...

— Słyszałem, że pan tych pieniędzy nie ukrył, że pan po prostu...

— ...schowałem u siebie w akademiku w szafie, do której każdy miał dostęp. Chyba zgłupiałem. Zresztą do końca tego portfela nie ukrywałem, pieniądze straciłem, a dowód został i podczas ostatniej rewizji został znaleziony... Rowerku nie było w tym czasie, to jest towar deficytowy, więc nie przeznaczyłem pieniędzy na hulaszcze roztrwonienie, ale po prostu wykorzystałem praktycznie: kupiłem sweterek elastyczny i materiał na spodnie.

— Psycholog przeprowadzał z panem badania testowe, maltretował, jak to się mówi, przez wiele godzin. Czy pan się nie boi, że został pan niejako obnażony?

— Trudno powiedzieć: i tak i nie. Człowiek w tej chwili jest zrezygnowany, nie wie co o tym sądzić... Bardzo lubiłem filmy z wartką akcją, rozrywkowe, których bohaterowie przechodzili nieprawdopodobne perypetie. Każdy film trwał dwie godziny i dobrze się kończył... A tutaj każda sekunda jest wiekiem i wciąż widzi się jakąś czarną kotarę...

— W swoich zeznaniach stwierdził pan między innymi: jestem materialistą doświadczalnym i logikiem, interesują mnie sprawy psychologii i psychiki ludzkiej.

— Tak, do wszystkiego podchodziłem z pewną rezerwą, a przy tym opierałem się na logicznym rozumowaniu, tymczasem okazało się podczas... tego mojego przestępstwa, że to rozumowanie okazało się w pewnym momencie błędnym.

— Równocześnie mówił pan, że często obserwował ludzi pijanych...

— Bardzo często, nie tylko pijanych. Lubiłem obserwować wszystkich, ale szczególnie ludzi niezauważalnych: przekupkę sprzedającą kwiaty, żebraka klęczącego przed kościołem na Placu Litewskim,... to jest jakaś inna strona medalu... Myślałem przy tym, by na krótko przeistoczyć się w czyjąś skórę, dla sprawdzenia się. To jest właśnie ten materializm doświadczalny... jak najwięcej poznać, wszystko wiedzieć. Czym się ja nie zajmowałem, różnościami, doświadczeniami fizycznymi, przeżyciami wszelkiego rodzaju, co się odczuwa w takich lub innych momentach...

— Doświadczenia fizyczne stawia pan obok ludzkich przeżyć, jak gdyby zachodził tu znak równości.

— Im bardziej nauka idzie do przodu, tym częściej okazuje się, że człowieka można by skonstruować. Różnica między maszyną cybernetyczną a człowiekiem jest tylko w tym, że człowiek posiada psychikę, może wybierać, a maszyna pracuje według jednego schematu...

— Czy tylko umiejętność myślenia różni człowieka od skomplikowanych maszyn?

— Jeszcze umiejętność kojarzenia...

— Ale to wszystko składa się na intelekt.

— Owszem, właśnie intelekt nadaje cel naszemu życiu, różni nas od świata maszyn.

— A czy poza intelektem nic więcej w człowieku nie ma?

— Hm... zaszachował mnie pan... trudno mi odpowiedzieć... trudno... Człowiek w pewnym momencie nie prowadzi korekty samego siebie... Teraz siedzę tutaj w celi i nie wierzę, że ja to kiedykolwiek mogłem uczynić, czasem szczypię się, a jednak okazuje się, że jest to jawa.. Ludzie poczytali gazety, sensacja... Tyle nadziei, tyle niespełnionych nadziei. Aspiracje, te aspiracje, ta ambicjonalność. Ciągłe dążenie do czegoś, wyżej i wyżej, w każdej dziedzinie...

— Czy dążąc do zdobycia autorytetu, ukrywał pan przed bliskimi, kolegami, swoje słabe strony?

— Czy starałem się... wstydziłem się, że byłem niezbyt wysoki i miałem — jak pan sam widzi — mało męską fizjonomię...

— ...jest pan jeszcze młody.

— Młody, ale zarazem w stosunku do rówieśników... to jest może bardzo dziecinna odpowiedź, ludzie nie rozumieją tego, ja zawsze w klasie byłem najmniejszy. Co ja nie robiłem, jakieś hantle kupowałem, sztangę sobie zrobiłem, ćwiczyłem na strychu. I w końcu podciągnąłem do metra siedemdziesiąt... Ale to mnie bardzo dużo kosztowało. Ktoś, kto nie rozumie tego, kto nie doznał w życiu podobnych upokorzeń, może to utożsamić z infantylnością, ktoś zwykły, przeciętny... Ja nie lubię przeciętności, to mną jakoś rusza, dosłownie rusza. Na najwyższym forum działać. Z jednej strony wszystko poznać, wszystko — to co jest możliwe, a z drugiej móc rządzić... Przyjemność, satysfakcja, Pasjonował mnie człowiek, od początku... być lekarzem, lekarzem... Okazuje się, że sława polityczna czy jakaś aktorska w pewnym momencie życia przychodzi do lekarza... Mieć do dyspozycji klinikę, być ordynatorem, chodzić sobie, wtedy fortuna nie gra roli... Byłem przy tym człowiekiem twardym, mocnym, potrafiłem walczyć, stawiać czoła wszystkiemu i wszystkim.

— Jakimi ludźmi pan najbardziej gardził?

— Tymi płytkimi ludźmi, którzy przeceniali się...

* * *

W drodze powrotnej z więzienia, gdy usiłuję uporządkować pierwsze chaotyczne jeszcze wrażenia, nagle uzmysławiam sobie, że casus Krówki był mi znany, zanim jeszcze miał miejsce. Tylko skąd? — Ależ oczywiście, coś tu z Lafcadia, coś z Raskolnikowa.

Wszystko więc już było? — Być może. Nie pomniejsza to jednak szoku i zdumienia jakie budzą tego typu postawy.

Rozmawiał
Kazimierz Dymel

Ireneusz Szubert

* * *

któż o utrillu może więcej
ponad fakturę spękanego płótna
uderzenie pędzla w nieodgadnięte
któż jeśli nie sama ściana biała
gdy w pomroce swej uciążliwości
dla świata myśl jest zapisana
kodem..... nikomu.... oprócz
biel deserwuje
potęguje krwotok
przekrwionych oczu wyczulonych dłoni
lecz i kolor nie daje spokoju
gdy dusza w delirium i świat przeklęty
nie ma nic co piękne
wszystko ku zniszczeniu
grubo malować by ślepiami
wywiercić (wystraszenie sobą)
pretekst utrillo z flaszką
w brudnej dłoni.

Rys. E. Inglot

Jerzy Gizella

Napad z bronią w ręku

nadęty gazem z kuchenki
z okrągłą od śmiechu twarzą
toczy się po ulicach
mój wiersz od ściany do ściany

taki wracam nad ranem
z sumieniem w rękawie
matka gromnicę zapala
zamyka drzwi na łańcuch

koło niej ojciec z widłami
stoi na straży mieszkania
patrzą przez dziurkę od klucza
jak długo będę poetą

Stanisław Stanik

Pejzaże

I

rosa rzęsista pod powieką
w odbiciu pejzaże przegląda
kiedy zachodzą widocznie
w wieczór południe i rano
czyli w niewidoczność
powieka zamyka pejzaże

II

Kto zwiedza
odciska rysopis przestrzenny
konturem powietrza —
szczelnie zamknąwszy się bryłą
— kto patrzy dalej —
przebiega rozsuwa wiatr i zapach
słońce
Za dalą —
widok groblą zamknięty
z wiatru wody zapachu ze słońca
Pejzażem jest kto zwiedził

---

rzyńsko-zmysłowego" i że Agata jeszcze w *Szpiegu* (wcześniejszej wersji *Człowieka*) miała być starsza od brata i dopiero w miarę przemian, którym ulegało rodzące się dzieło, stawała się coraz młodsza. Agata jest bowiem nie tylko wcieleniem uwznioślonej Herminy — Marty, połączonej w jedną osobę matki rzeczywistej i matki zastępczej, lecz także uosobieniem tęsknoty pisarza za nie istniejącą siostrą, wywodzącą się, jak wiemy, z rojeń małego Roberta. I ją zresztą Musil „odnalazł" w Marcie, którą w 1910 roku na pocztówce do swego przyjaciela Allescha nazwał „zamężną siostrą". Tak więc Marta w dużej mierze zogniskowała w sobie nie zaspokojone pragnienia i marzenia miłosne z przeszłości pisarza i od 1907 roku stała się najważniejszą, choć nie jedyną towarzyszką jego literackich snów, modelem większości jego bohaterek, oscylujących, jak osoba Herminy w trzech zjawach prologu do melodramatu *Zodiak*, między „diablicą" a „niebiańską istotą", lub — jak sam autor — między irracjonalną, niebezpieczną zmysłowością a jej sublimacją, która w *Człowieku bez właściwości* zyskuje szerokie pozaosobiste znaczenie.

PERYPETIE Z ROZWODEM

Tymczasem jednak Marta była dla Musila przede wszystkim życiowym problemem, domagającym się rozwiązania. Należało przeprowadzić jej rozwód, na który Marcovaldi, wierzący katolik, pod żadnym warunkiem nie chciał się zgodzić. Wynikły z tego długotrwałe perypetie, częściowo później wykorzystane jako materiał do przedstawienia sprawy rozwodowej Agaty, mieszkającej u Ulricha i pragnącej rozejść się z mężem, profesorem Hagauerem. Obie zainteresowane strony wzięły adwokatów, robiły wypady do „nieprzyjacielskich" miast, prowadziły podstępną i denerwującą wojnę, której epizod Musil opisał z wisielczym humorem w dotychczas nigdzie nie drukowanym liście z Rzymu, skierowanym 31 stycznia 1910 roku do Allescha: „Wojna toczy się na całego. I nie bez sytuacyjnego komizmu. Jak Pan sobie przypomina, sgr. E [nrico Marcovaldi] zażądał ostatnio odroczenia sprawy do 31-go, dla jej polubownego załatwienia. Zgodnie z naszym przypuszczeniem był to w rzeczywistości tylko podstęp, bo E. wykorzystał uzyskany czas na zaopatrzenie się w pieniądze i dobre rady adwokata i potajemnie pojechał do Berlina, żeby nas zaskoczyć i uprowadzić dzieci. Ale my dowiedzieliśmy się tutaj o tym (w zabawny sposób) dostatecznie szybko, aby móc jeszcze kazać wywieźć dzieci i pozamykać mieszkanie. Podczas gdy nabrany lew przebywa więc w Berlinie, my siedzimy w jego jaskini i wykorzystujemy jego nieobecność ze wszystkich sił... Działamy przy pomocy detektywa i spodziewamy się dobrych rezultatów".

Widocznie jednak detektyw (może życiowy model detektywa Stadera z *Marzycieli?*), który zapewne miał zdobyć jakieś dowody zdrady Marcovaldiego, niczego nie wskórał. Pod datą 8 sierpnia 1910 roku czytamy bowiem w *Dziennikach*, że „w ostatnim miesiącu rokowania ponownie się rozbiły" i że nasza para po pełnym napięciu okresie „robienia ustępstw" powitała „wznowienie działań wojennych z prawdziwą ulgą". Trwały one jeszcze, na przemian z pertraktacjami, przez dłuższy czas, aż wreszcie — jak podaje Dinklage — znaleziono wyjście z sytuacji i oporny małżonek zrezygnował ze swego nieprzejednanego stanowiska. Marta przeszła na protestantyzm, postarała się o adoptację przez Węgra i nabywszy tą drogą obywatelstwo węgierskie, otrzymała rozwód przed węgierskim sądem. Wtedy Musil również wystąpił z kościoła katolickiego i jako ewangelik poślubił w Wiedniu, dnia 15 kwietnia 1911 roku, swoją ukochaną. W ten sposób zakończył się szczęśliwie bodaj najburzliwszy okres w jego życiu, które nigdy przedtem ani nigdy potem nie obfitowało w tak sensacyjne zewnętrzne powikłania.

OSTRZEGA SIĘ PRZED ROBERTEM MUSILEM!

Nie można się dziwić, że rozwodowe perypetie i towarzyszący im niepokój nie wpłynęły dodatnio na twórczość pisarza. Kiedy w 1908 roku, po ukazaniu się *Zaczarowanego domu* w dwumiesięczniku „Hyperion", Musil otrzymał od Franza Bleia zamówienie na następne opowiadanie (i pierwsze powstało z inicjatywy krytyka), wydało mu się, iż nie sprawi mu ono większych kłopotów. „Miałem nawet zamiar — pisze w *Testamencie II* — potraktować to opowiadanie jako literackie, ćwiczenie oraz jako odpoczynek i duchowe odprężenie dla mnie samego..." Liczył, że ukończy niewielki utwór w ciągu ośmiu, najwyżej czternastu dni. Ale stało się inaczej. Wystąpiły trudności, które będą typowe dla prawie wszystkich jego przyszłych przedsięwzięć twórczych i które już w latach 1908—1910 nie były jedynie skutkiem zewnętrznych przeszkód. Robota szła jak z kamienia, posuwała się zaiste żółwim tempem. W sumie praca nad *Dopełnieniem miłości*, bo o nie chodziło, wraz z nowym ujęciem *Zaczarowanego domu*, noszącym tytuł *Kuszenie cichej Weroniki (Die Versuchung der stillen Veronika)*, zabrała autorowi dwa i pół roku życia, przerodziła się w wycieńczające i niewspółmierne do postawionego celu zmagania. Dla tych utworów — powiada Musil — „niemal zrujnowałem się psychicznie, bo zużycie aż takiej energii na ostatecznie mało efektywne zadanie, graniczy z monomanią".

I rzeczywiście efekt pisarskiego trudu był objętościowo nader skromny. Opublikowany w 1911 roku w Monachium tomik *Zespolenia (Vereinigungen)*, na który złożyły się tylko dwa wyżej wymienione opowiadania, zajmuje w zbiorowym wydaniu Frisego raptem 66 stron druku. Przy tym zawsze samokrytycznie nastawiony Musil miał wątpliwości co do swojej książki, a recenzenci z małymi wyjątkami zjechali ją niemiłosiernie lub zgłosili zasadnicze zastrzeżenia. Jeden z nich wprost ostrzegł czytelników, żeby nie dali się nabrać autorowi, który widocznie chce wypróbować „ile bzdur można przedłożyć dzisiejszej zdezorientowanej publiczności". Inny recenzent zaś, zarzuciwszy *Zespoleniom* psychologiczne zagmatwanie i niezrozumiałstwo, zgubny pociąg do wszystkiego, co „dziwacz-

Dokończenie na str 8—9

Aleksander Rozenfeld

* * *

w tym jest moja siła
że nawet najpiękniejszej potrafię
powiedzieć
nie jestem dla ciebie
bo choć noc wspólna to za małą
byś była ta najważniejsza
nie jestem sam choć osobno się wlokę
z oddali słowo „tatusiu" dochodzi
wtedy wieczny tułacz wraca do ziemi
wciąż nieswojej
mimo że obiecanej

* * *

Krytykowi Z. Irzykowi

a jestem bogatszy od ciebie
o noce nieprzespane
dworce kolejowe liczne
ranki wczesne na starym mieście
w Warszawie
o nos złamany na szaber placu
w bójce ze starym złodziejem
a ty świat podziwiasz z okien kawiarni
i chcesz go zbawić
z myślą że wiedza ścisła
daje ci do tego prawo
. . . . . .
nim więc za pióro złapiesz
by napisać na mnie wyrok
pomyśl — biedniejszy o życie
może warto umówić się ze mną
na kawę?

ALEKSANDER ROZENFELD rozczula się nad sobą, że przypadł mu los wiecznego tułacza, aczkolwiek jest obecnie w Lublinie obywatelem raczej ustabilizowanym i osiadłym.

Urodził się 30 czerwca 1941 roku w mieście gubernialnym Tambowie (Związek Radziecki). Do Polski przyjechał wraz z rodziną w roku 1946 i osiadł we Wrocławiu, lecz jako 16-letni chłopak ruszył „w Polskę". Był pielęgniarzem w szpitalu psychiatrycznym w Kłodzku, nauczycielem w woj. wrocławskim, pracował w Bieszczadach, był instruktorem PK ZSL w Świebodzinie. Maturę kończy eksternistycznie i zalicza trzy lata polonistyki na UAM w Poznaniu. Potem kolejno — Kielce, Wrocław i wreszcie Lublin (1971 r.).

Debiutował wierszem w roku 1965 w gdańskim radio. Drukował poezje w „Życiu Literackim", „Nurcie", „Nadodrzu", „Faktach i Myślach", „Kamenie", „Kulturze i Życiu" (dodatku do „Sztandaru Ludu"), „Przemianach", również w almanachu „Pomosty II" oraz w zbiorowym wydawnictwie „PAX-u" — pt. „Zeszyty poetyckie" — zbiorek „Do ciebie mówię" (Warszawa 1971). Ma złożony tomik w Wydawnictwie Lubelskim.

Rozpoczynał od poezji, która stanowiła niejako autoterapię, lek na osobiste boleści wewnętrzne autora. Ostatnio przewija się w jego tekstach nuta poezji obywatelskiej, a także polemika z przedstawicielami ruchów młodoliterackich w naszym kraju.

MP

Pro arte

Maria Bechczyc-Rudnicka

Jean Genet — „Pokojówki", Danuta Borowiecka (Pani), Piotr Wysocki (Solange), Józef Onyszkiewicz (Claire).

Fot. Z. Jaśkiewicz (CAF)

OD PEWNEGO czasu odnotowywanie różnych inicjatyw lubelskich aktorów w zakresie małych form staje się niejako obowiązkiem moralnym recenzenta, albowiem przy nie zawsze atrakcyjnym ostatnio repertuarze dużej sceny Teatru im. J. Osterwy, miłośnicy sztuki dramatycznej czuliby się bez wątpienia nieco sfrustrowani, gdyby życia teatralnego w Lublinie nie wzbogacały właśnie owe imprezy aktorskie, odbywające się niekiedy w „Reducie 70", częstokroć poza nią.

Parę miesięcy temu pisaliśmy (p. nr 2 „Kameny" z rb.) o sukcesach przeszło dwuletniego Studia Dramaturgii Współczesnej, które oferując publiczności aktorskie czytanie sztuk, z naszkicowanym gestem, ruchem i mimiką, jest siłą rzeczy teatrem pisarza i aktora. Dziś pragnę zwrócić uwagę na znaczenie kulturalne kilkakrotnego już zaprezentowania w Lublinie monodramu pt. „A jak królem, a jak katem będziesz" — przez aktora Teatru Osterwy, Kazimierza Borowca.

Wiadomo powszechnie, że zaczynając bodaj od lat sześćdziesiątych rozwija się bujnie w Polsce tzw. teatr jednego aktora. Przyczyny zjawiska są różnorakie. Niekiedy powoduje takim aktorem — „indywidualistą" zwyczajna chęć popularyzacji swojej osoby wraz z nadzieją szybkiego dorobienia się... samochodu, lecz w wypadku, gdy aktor jest naprawdę wybitną i n d y w i d u a l n o ś c i ą, chodzi mu zasadniczo o coś innego: o możliwość nie skrępowanego teatrem zinstytucjonalizowanym *przekazania odbiorcy swoich przemyśleń i rozterek — choćby cząstki doniosłego znaczenia i piękna tych spraw, które stały się uprzednio jego osobistym i głębokim przeżyciem.*

Powyższy cytat pochodzi z wypowiedzi Borowca w jednym z niedawnych numerów „Teatru". Trafna to bardzo definicja noblilwych pobudek aktora-ideowca uprawiającego monodram.

Wydaje mi się, że właśnie monodram jest dzisiaj formą teatralną, w której sojusz ideowy aktora z pisarzem ma najwięcej szans urzeczywistnienia. Tu najłatwiej może dojść do swoistej „Wahlverwandschaft", nic tutaj nie stoi na przeszkodzie wybraniu z niewyczerpanych zasobów literatury (prozy, poezji, dramatu) — akurat tego dzieła, które najściślej przystaje do osobowości wykonawcy monodramu, do jego credo. Tak doskonałej zgody nie sposób uzyskać w kolektywie teatralnym, nawet pod warunkiem tradycyjnej lojalności reżysera wobec autora tekstu.

„A jak królem, a jak katem będziesz" — trudno by było wybrać na scenariusz książkę bardziej pociągającą, niż ta powieść Tadeusza Nowaka. Niby napisana „prozą", a przecież totalnie poetycka, cała przesiąknięta poezją przyrody, wezbrana ogromem wierzeń ludowych, zamawiań, zaklęć, obrzędów, odbijająca wiekowy układ życia wiejskiego, ukształtowanego przez prawa natury i tradycję, niezachwianą aż do drugiej wojny światowej.

Z niezwykle kunsztowną prostotą gra Kazimierz Borowiec tego Piotrusia-Piotra, pozornie swojskiego, w istocie zaś po trosze niesamowitego. Właściwie nie gra go, tylko się w niego przemienia, nie tracąc zarazem ani na chwilę kontroli artystycznej nad stworzoną postacią. Sprawa diablo skomplikowana, bo Piotruś-Piotr, chłopak śpiewający w chórze kościelnym, naprawdę jest, jak pogański bożek Pan, związany organicznie z przyrodą (ba, ze wszechświatem!), podobnie do niej amoralny a urokliwy. Jest poetą z łaski matki-natury, wessał jej poezję i sam poezję tworzy swoim sposobem bycia. Toteż nieważne są wszelkie nasze kodeksy wobec jego poczynań czasu pokoju, cóż dopiero czasu wojny i niewoli, które obalają różne klauzule pokojowe. Czasu nieludzkiego, Piotr wręcz urasta nam na bohatera narodowego, a choćby przynajmniej ludowego, stając się „świętym katem" — i to bez żadnej ostentacji, z tym swoim naturalnym „rzeczowo-poetyckim" wzięciem.

Wszystkie owe cudności i niuanse przekazuje Borowiec widzowi-słuchaczowi w niedościgły sposób przy pomocy zewnętrznie obojętnej narracji, której ukryta, trzymana na wodzy pasja, wstrząsa do głębi odbiorcą zespolonych przeżyć pisarza i aktora.

Przy czym (rzecz arcyważna) od naporu autentycznego wzruszenia nie ponosi bynajmniej uszczerbku aura poetycka tej opowieści spod znaku jabłek purpurowych — zrazu metafory rajskiej zorzy, potem symbolu przelewanej krwi, a w ogóle — życia.

W monodramie Borowca, w jego wykonaniu, nie dostrzeżesz krzty patosu czy popisowości. Odnoszę wrażenie, że poczynione skróty wyszły tekstowi na dobre, jak gdyby nakazując wstrzemięźliwość w momencie, kiedy gotów był stać się za ozdobny.

Tym wyraziściej wynurzają się zaczajone w podświadomości Piotra-wizjonera postacie jego umarłych i nękająca go obsesyjnie „biała twarz" rozstrzelanej osiki.

*

Kontrastowo odmienny spektakl, na razie „nieoficjalny", pokazała aktorska trójka: Danuta Borowiecka, Józef Onyszkiewicz, Piotr Wysocki. Współpracując z reżyserem (również z Teatru Osterwy) Józefem Jasielskim, przygotowali oni na szczeciński VII Przegląd Zawodowych Teatrów Małych Form — Genetowskie „Pokojówki". Sztuka, powstała przeszło ćwierć wieku temu, zawiera już, jak wiadomo, zasadnicze elementy przenikające do twórczości Geneta z „teatru okrucieństwa" Antonina Artaud.

Podobno Genet chciał, żeby role kobiece w „Pokojówkach" grali mężczyźni. Ani Jouvet, pierwszy realizator „Pokojówek" we Francji, ani u nas Konrad Swinarski — nie zastosowali się do tego życzenia. W gruncie rzeczy nie wiem dlaczego. Może z obawy, by takie „rôles travestis" nie trąciły starym teatrem żakowskim. A może przeciwnie — chodziło o nieprzeciąganie struny. Otóż lubelscy aktorzy podjęli ryzyko: Claire zagrał Onyszkiewicz, Solange — Wysocki. Przy takim obsadzeniu ról zachodzi niebezpieczeństwo nadszarpnięcia, rzec by można — estetyki teatru okrucieństwa. Balansuje się między spektaklem serio i jego niezamierzoną parodią. Wystarczy lekkiej niedyspozycji aktorów, zwyczajnego zmęczenia, by spowodować rozpad przemyślanej koncepcji. I tak się też stało na drugim pokazie lubelskich „Pokojówek". Szczęściem, w czasie szczecińskiego przeglądu aktorzy ostro czuwali nad swoją kondycją artystyczną, w rezultacie spektakl uzyskał III nagrodę publiczności.

Reżyserskie ujęcie „Pokojówek" przez Jasielskiego jest ciekawą próbą bezpośredniej realizacji teatru okrucieństwa Artauda z pominięciem Grotowskiego.

Myślę, że przekazanie ról pokojówek mężczyznom ubezpiecza w pewnej mierze sztukę od spłycenia łatwymi symbolami czy metaforami (aż do klasowych komentarzy włącznie!) oraz sprzyja skupieniu się uwagi widza na „ponad-Pikassowskim" już u Geneta przełamywaniu się i zwielokrotnianiu twarzy postaci, sprzyja skupieniu się na obserwacji zabójczej gry nienawiści i miłości, czy raczej chuci.

Niemniej przedzierzgnięcia się osobowości, odtworzone przez Danutę Borowiecką w jej autentycznie kobiecej roli Pani, wypadły chyba najudatniej, może na skutek ułatwienia bliskością do koncepcji psychologicznej, której Genet tutaj się nie ustrzegł.

W moim przekonaniu, stosunek Geneta do pojęcia zła jako do zbędnej konwencji socjalnej czyni fascynację jego teatrem — niepożądaną w wielkiej skali, wątpię natomiast, by zapoznanie z nim na scenie eksperymentalnej miało kogoś narazić na dotkliwe straty moralne, a od strony warsztatu aktorskiego zysk jest z pewnością niemały!

*

Jerzy Leszczyński, wspominany już przez nas były adept Tomaszewskiego, swego czasu organizator studia pantomimy w Puławach, obecnie tzw. Studia Wizji i Ruchu, które werbuje mimów ze środowiska akademickiego w Lublinie, wystąpił ostatnio na scenie „Reduty 70" z nowym zespołem, demonstrując impresje pantomimiczne pt „Warianty", wyreżyserowane w oparciu o scenariusz własny, z aranżacją plastyczną Władysława Ziomka i muzyką Zbigniewa Zastawnego (opracowanie muzyczne Marka Zarzyckiego).

Z czterech etiud zatytułowanych: „Introdukcja", „Studium dnia", „Pustynia", „Buty", najbardziej komunikatywna wydała mi się „Pustynia", z ładnym „symbolicznym" drzewem ocalenia upostaciowanym przez dziewczynę, w końcu tragicznie załamanym.

Do spektaklu ma wprowadzić motto wypisane na tablicy:

Nic pragnąłem przecież nic więcej niż żyć tym, co samo chciało wydobyć się ze mnie (Herman Hesse).

Liryczną muzykę dziewczyny-grajka zderzono z nagranymi na taśmę przemówieniami Chamberlaina, Roosevelta, Trumana, Hitlera, Nixona, które docierają do wyobraźni widza jako zgiełk polityczny. Celem widowiska jest przekazanie odbiorcom odczucia tragizmu kondycji ludzkiej we współczesnym świecie. Zamysł ambitny, lecz nie zawsze czytelny, wskutek zbyt luźnych niekiedy skojarzeń pojęć ze znakami. Sądzę jednak, że przy dalszych próbach młody zespół potrafi zrealizować w pełni swoje zamierzenia.

Wszystkie inicjatywy Jerzego Leszczyńskiego wnoszą cenny element do życia teatralnego Lublina, stała współpraca utalentowanego aktora-mima z Teatrem im. J. Osterwy jest ze wszech miar pożądana.

Towarzyszka snów

Dokończenie ze str. 6—7

ne", „chaotyczne", „anormalne", „intelektualnie perwersyjne", „absolutnie chorobliwe i histeryczne", również poczuwał się do obowiązku „ostrzelania przed Robertem Musilem, którego w ostatnich czasach literaccy prorocy ogłosili mesjaszem, mającym nam przynieść zbawienie". Była to wyraźna aluzja do recenzji Alfreda Kerra z *Niepokojów wychowanka Törlessa*. Obecnie jednak Kerr milczał, a inni poważniejsi krytycy, mimo uznania dla talentu i możliwości Musila, również wytykali mu nieprzejrzystość przedstawionych przebiegów psychicznych, niedostateczną plastykę i niekiedy nawet „ciemny, napuszony styl". Życzyli też „zdolnemu pisarzowi, żeby w przyszłości udało mu się uniknąć niebezpiecznej maniery chorobliwości i dostrzec wyżyny sztuki... w ukazywaniu zjawisk prostych i zdrowych".

Kamena str. 8

Szczególnie nieprzyjemne dla autora było dosyć powszechnie wypowiadane zdanie, że *Zespolenie* stanowią wyraźny krok wstecz w porównaniu z *Törlessem*, którego nowa edycja z 1911 roku w świetle krytycznych ocen tomu nowel nie spotkała się już z tą samą zgodną aprobatą co pierwsze wydanie. „Wynikło z tego dla mnie jedno wielkie niepowodzenie — wspominał Musil około 1936 roku w *Teoretycznych przyczynkach do życia pisarza (Theoretisches zu dem Leben eines Dichters)*. — Znowu okazało się, że debiuty, jak to się często zdarza, są zwodnicze: tak pisali o mnie ci, którzy kiedyś powitali *Törlessa* jako książkę autobiograficzną. Ale tak pisała również większość ludzi mi życzliwych. W całym moim życiu spotkałem tylko niewiele osób, zdających sobie sprawę, czym ta książka [t.j. *Zespolenie* — przyp. E. N.] miała być i czym też częściowo na pewno jest". W powodzi ujemnych ocen tomiku opowiadań odezwały się jedynie dwa głosy naprawdę pozytywne: Ernsta Blassa, który sławił Musila jako „odkrywcę nowych obszarów duszy" (Entdecker von Neu-Seelland) i Alfreda Wolfensteina, który zamknął swoją recenzję konkluzją: „Kto nie uznaje dzieł Musila, ten nie jest człowiekiem dzisiejszym". Ale to były głosy wołających na puszczy.

ZBUNTOWANY BIBLIOTEKARZ

Jeszcze w trakcie wytężonej pracy nad *Zespoleniami* stanął przed pisarzem drugi, obok rozwodu Marty, istotny problem życiowy, z którym nolens volens musiał się uporać. Oto minęły już przeszło dwa lata od chwili uzyskania doktoratu, a Musil nadal był na kompletnym utrzymaniu rodziców. I też nadal nie robił nic, żeby skończyć z tym stanem rzeczy, nienaturalnym dla trzydziestoletniego absolwenta dwóch wyższych uczelni, który ponadto zamierzał się ożenić. Dopiero przynaglony ostrym listem z domu w sierpniu 1910 roku, pisarz rozpoczął gorączkowe peregrynacje po berlińskich redakcjach, starając się między innymi o stanowisko recenzenta i krytyka w „Berliner Zeitung".

Ponieważ jednak próby uczepienia się w stolicy Niemiec nie dały wyników, nie pozostawało mu nic innego, jak zgodzić się, z wielką niechęcią, na przyjęcie wyszukanej mu przez ojca posady bibliotekarza w Wyższej Szkole Technicznej w Wiedniu. Przed objęciem tej niezbyt nęcącej i niezbyt intratnej funkcji Musil pojechał z Martą na trzy miesiące do Włoch, gdzie naszkicował w *Dziennikach* dalszy ciąg historii obłędu Alicji (późniejszej Klarysy z *Człowieka bez właściwości*) i wciąż miał cichą nadzieję, że może jakimś cudem urzędnicza dola go ominie. Ale nie ominęła, nie pomogły żadne wybiegi ani opóźniające manewry. „Od mniej więcej trzech tygodni chodzę do biblioteki — zanotował 16 kwietnia 1911 roku, w dzień po ślubie z Martą. — Nie do zniesienia, mordercze... rzucę to i puszczę się znowu na niepewne wody".

Zbuntowany bibliotekarz trochę uspokoił się dopiero, kiedy ojciec dopomógł mu finansowo w zdobyciu i utrzymaniu obszernego, pięknego mieszkania i kiedy po niespełna roku urzędowania w Wyższej Szkole Technicznej otrzymał awans, połączony z o wiele wyższymi poborami. Cóż to jednak znaczyło, skoro nie mógł się zabrać do żadnej poważniejszej pracy literackiej. „Tworzenie nie jest czynnością, lecz stanem — twierdził — i dlatego, mając posadę i tylko pół dnia wolnego nie można wciąż na nowo podejmować roboty" po każdorazowej przerwie. Musil odznaczał się wprawdzie niebywałą umiejętnością w zdobywaniu zdrowotnych urlopów i raz nawet „urwał się" wraz z Martą na przeszło cztery miesiące do Włoch, lecz wolny czas wydawał mu się aż nadto „poszatkowany". Starczało go jedynie na szkicowanie planów i scen do dramatu *Anarchiści* (późniejsi *Marzyciele*), którym zajmował się już przed pisaniem *Zespoleń*, oraz na gromadzenie materiałów, głównie w *Dziennikach*, do przyszłej wielkiej powieści. Notatki te, jak słusznie zauważył Berghahn, po raz pierwszy zdradzają żywsze zainteresowanie autora dla obserwacji otaczającego świata. Obrazy i sceny z ulic Wiednia, opis zakładu dla umysłowo chorych w Rzymie, portrety-karykatury różnych osób zgromadzonych w pewnym intelektualnym salonie w Berlinie — wszystko to są barwne kamyczki do mozaiki, które odnajdujemy przetransponowane i

Odpływ

Bogdan Madej

PO PRZYJEŹDZIE nad morze bezsenność trapiła go co noc. Kiedy Maria już spała, wyczołgiwał się spod kołdry, zbliżał do okna i rozsunąwszy firanki stał tam godzinami. W rosnącym spokoju patrzył na nieruchome cienie, oddech Marii był głęboki, za oknem przebiegały głosy, które przynosi z chłodem i oddala nocna wilgoć. Falami, nie wiadomo skąd, płynęła nocna muzyka, wtopiona w noc, dokładnie zespolona z jego czuwaniem i snem Marii. Nastrój bezowocnego czekania wydawał mu się czasem banalny, ale czuł się związany z nocą, bo napełniała go spokojem sączącym się wprost do serca, otwartego, bliższego Marii niż za dnia. Żałował, że kiedy jest sam, ona już śpi. Był pewny, że w tej ciszy mogliby rozmawiać.

Dzień nie przysparzał sposobności do rozmów. Budzili się, wstawali, ustępując sobie grzecznie miejsca i patrzyli na siebie z ogromnego dystansu współmilczenia. Wychodzili przed południem na plażę, donosząc swoje milczenie i tam, i w tym niezmienionym trybie przebiegała im większość dni.

Leżąc nie wiadomo dlaczego nie na piasku, ale na wypalonej trawie, suchej i kłującej jak szczecina, zastanawiał się, dlaczego tak się dzieje, skoro w ich milczeniu nie ma wrogości. Godzinami słyszał kroki i głosy, obserwował ludzi. Od wielu dni panowała nadzwyczajna pogoda, upalne słońce szło przez niebo co dzień migotliwe jak neon. Maria wspierając głowę na złączonych dłoniach patrzyła w urzeczeniu na wodę lub na pobliski las. Nad wodą z lewej lub z prawej strony kręcił się wir ptaków, odwijał niespodziewanie i płynął na nieruchomych skrzydłach jak klucz szybowców zjednanych nieuchronnym upadkiem. Z bliska podpełzał senny niepokój odpływu. Mimo przychylnej aury wyczuwał w powietrzu i w morzu zagadkowe, nieznane przemiany.

Obok widniała twarz Marii ukryta w cieniu głowy i pogrążona w zadumie młodego sfinksa. Maria raz na jakiś czas poruszała nogami, unosiła głowę i patrzyła, gdzie podziały się ptaki. Nie zawsze mogła je dostrzec; czasem kołowały nad lasem, nieraz wysoko nad nimi. Z niezmąconym spokojem naprężała plecy, odchylona do tyłu dźwigała tors nad trawę i niebywale smutnymi palcami wiązała włosy nad karkiem.

— Przytrzymaj mi tasiemkę — prosiła.

Kiedy na nią patrzył, przyglądała mu się trzymając w zębach spinki; surowo ściągnięte wargi pękały dziesiątkami zmarszczek.

— Zwiąż mi włosy — mówiła.

Robił to, dotykając ciepłego karku, Maria wysuwała wargi jak do pocałunku i to go myliło. Wyjmowała kolejno spinki z ust, potem się uśmiechała. Odwzajemniał się jej niewyraźnym uśmiechem, którego korzenie tkwiły w mięśniach twarzy jak mimowolny grymas. Ludzie przychodzili, układali się w pobliżu parami, zagrzebywali w piasku, podnosili i oddalali, aby zmieniwszy twarze wrócić po kilku minutach. Gdzieś podziewała się wilgoć, sucha gorączka piasków przyprawiała ich o pragnienie. Ich milczenie natomiast przedłużało się w szybowaniu ptaków i kołysaniu wody.

W porze obiadu odchodzili w stronę miasta i wracali po dwóch godzinach. Układali się dokładnie w tym samym miejscu albo kroczyli brzegiem wzdłuż szeleszczących piasków, pojednani milczeniem i smutkiem. Bał się, że mimo wysiłków, dzięki którym zapanowała zgoda, podobna wprawdzie bardziej do zawieszenia broni aniżeli do rzeczywistej jedności, czas przeznaczony na porozumienie wykruszy się wkrótce, a oni wrócą do pracy i zwykłych dni, w których nic się na lepsze nie zmieni.

Obserwował Marię w czasie spacerów i przypatrywał się jej także, kiedy całymi godzinami leżała przy nim, nie zmieniając pozycji. Wyraz jej twarzy też się nie zmieniał, a oczy wypatrywały czegoś w liniach morza i nieba. Usiłował odgadnąć od jakich do jakich spraw biegnie jej myśl. Był ciekaw czy i ona boi się zakończenia, o którym myślał tak często, że spędzało mu sen z oczu. Niejednokrotnie wydawało mu się, że Maria o tym nie myśli; potwierdzenie znajdował w jej zachowaniu pełnym spokoju. Sądził, że nie dzieli jego niecierpliwości, a tylko czeka, kiedy ich losy rozstrzygną się same. Irytowały go wyczuwalny bezwład i bierność i paraliżowało podejrzenie, że kiedy on, rozbity, z niepokojem szuka w każdej minucie słów, które by ich sobie zwróciły, Marię zadowala czekanie.

Z kolei dopuszczając myśl, że silne i żarliwe uczucie, jakie ich do niedawna łączyło, jeszcze się nie wyczerpało, był pewny, że jego w nim część jest większa i dlatego Maria może spokojnie czekać finału, nie pomyślawszy o kompromisie, jak gdyby tylko czas mógł weryfikować i uczucie i ich wzajemną dla siebie przydatność.

Ze szczególnym okrucieństwem wmawiał sobie, że te spokojne dni są niczym więcej jak czasem, który im nic nie niesie. Wyzbywał się wtedy wszelkich wątpliwości i tracił nadzieję. Sądził, że tylko jakieś gwałtowne zdarzenie, które by jedno z nich stawiło w obliczu nieszczęścia, mogłoby coś zmienić. Dlatego leżąc na trawie albo idąc za Marią nadbrzeżnymi wydmami coraz częściej wypatrywał nierzeczywistej próby.

Raz sobie wyobrażał, że Maria idzie się kąpać. Odpływa daleko od brzegu, widoczna dzięki czepkowi, i tam zaczyna tonąć. On na jej krzyk rzuca się do wody, płynie do tonącej, traci ją z oczu, znów ją dostrzega i w końcu jest przy niej. Maria oszalała ze strachu nie poznaje, kto przybył jej z pomocą. Ściąga jej z włosów czepek i holuje ją do brzegu trzymając jej twarz na powierzchni. Maria wkrótce uspokaja się, znowu patrzy na słońce, kurczowo otacza ramieniem jego kark, a jej włosy opływają mu twarz razem z wodą i utrudniają oddech. Kiedy ją wciąga na brzeg, Maria jest już przytomna. Mimo że najadła się strachu, uśmiecha się, w końcu żartuje ze swojej przygody, ale pod powierzchnią słów tkwi nie wyrażona wdzięczność, która przemienia jak cudem jej stosunek do niego. Jest znowu wspaniale. Uśmiechają się do siebie, wieczorem, w drodze na nocleg, oboje są niecierpliwi.

Ponieważ nic się nie zdarza, dzień później przychodzi mu do głowy inny wariant.

Idą wzdłuż brzegu wysokimi skarpami mijając nawisy ciężkiej ziemi. Maria ruchliwa jak podlotek wyzbywa się tutaj smutku, pomagając sobie rękami wchodzi na skarpę i skacze z występu na występ. Chce ją ostrzec, bo widzi ślady potężnych obsunięć, ale te ostatnie zdarzają się w w czasie sztormów, więc nic jej nie mówi. Wydaje mu się, że wystarczy, gdy idzie czujnie tuż za nią.

Do nieszczęścia dochodzi zbyt łatwo. Metr kwadratowy ziemi, gdy Maria jest na szczycie, usuwa się nagle spod jej stopy szukającej w popłochu stałego wsparcia. Maria krzyczy, chce skoczyć dalej, ale tuż przed nią otwiera się szczelina. Oderwany od calizny słup ziemi chwieje się i jak zmurszały pień kruszy u podstawy. Maria zniża się gwałtownie, przekręca przed upadkiem na biodro, pada z rozrzuconymi rękami, a ziemia sunie z mokrym szelestem i przykrywa ją całą. Jest cicho, w promieniu kilometra nie ma żywego ducha.

Po chwili odrętwienia skacze za nią. Rozdziera palcami ziemię, drąży ją i spycha zgarniając całe jej tony wściekłymi rzutami nóg. Po minucie dociera do leżącej. Odgrzebuje wpierw jej łydkę i rozgarnia ziemię tam, gdzie spodziewa się głowy, ale Maria leży w pozycji nie pozwalającej zgadnąć, gdzie jest twarz. W zaciekłym poruszeniu, nieprzytomny jak zwierzę, rwie grunt i wreszcie po dalszych sekundach trafia na szyję. Oczyszcza z ziemi twarz, piersi Marii i brzuch. Maria się nie rusza, leży z zamkniętymi oczami. Robi jej sztuczne oddychanie. Podnosi ręce otwierając pachy z włosami przesypanymi piaskiem, ziemia z palców osypuje się na twarz i prószy na nieruchome powieki, które wkrótce zaczynają drgać jak w czasie sennych widzeń. Ziemistoszare policzki różowieją, z ust sączy się ślina zmieszana z piaskiem. Marii wraca normalny oddech, piersi podnoszą się równomiernie, rytm wdechu i wydechu jest głośniejszy. Jeszcze minuta i Maria otwiera oczy pełne jeszcze zdumienia i lęku, jakie zatrzymały w czasie upadku i nasuwania się ziemi na twarz. Poznaje go, krzywi się z bólu. Jest świadoma, że cudem uniknęła śmierci. Razem zgarniają ziemię z uwięzionych nóg; podnosi Marię wpierw do pozycji siedzącej, a później pomaga jej wstać. Wiadomo, co jest potem. Wracają do domu, upływa wieczór i noc, i każde z nich oskarża siebie o głupotę. Rano, ponieważ oboje mają dość miasta, które długo będzie się łączyć ze wspomnieniem niedorzecznego milczenia, postanawiają tego samego dnia wracać.

Nie zdarza się jednak i to, nie przychodzi w sukurs żadne szczęście w nieszczęściu. Dlatego również w nocy, stojąc przy oknie i słuchając głosu ulicy i ogrodów, raz po raz zbliża się słuchem do Marii. Czasem mu się wydaje, że nie słyszy jej oddechu. Przez moment trwa przerażenie, myśli, że to letarg, albo że Maria wysunąwszy się z łóżka poszła popływać samopas, wzywając na pomoc, jak on, wszelkie możliwe przypadki. Ze sprzecznymi uczuciami zbliża się do łóżka, widzi tam długi kształt, dochodzi go jej oddech. Nie pozostaje nic, jak wrócić znów do okna albo się położyć i czekać cierpliwie snu.

W końcu przyszedł ostatni dzień, nazajutrz mieli wyjechać. Maria kręciła się od rana po pokoju zbierając garderobę i drobiazgi, o których się zapomina w dzień wyjazdu. Wydało mu się, że jej wzrok omija wszystkie przeszkody, raz skupiony na czymś bardzo odległym, drugi raz na czymś tak bliskim, że jej oczy rozwierały się nagle i przestawały go widzieć. Od czasu do czasu na jej usta zabłąkiwał się uśmiech. Zamienili ze sobą tylko tyle słów, ile trzeba było dla uzgodnienia, że przed południem pójdą na plażę, a po południu wezmą udział w pożegnalnym wieczorku. Poza tym nie rozmawiali; zauważył, że Maria wolała przez parę minut szukać jakiegoś przedmiotu, aniżeli spytać, gdzie leży. Wiedział, że oboje są rozbici, i dwa tygodnie przeznaczone na pojednanie nic im nie dały.

Godzinę leżeli na plaży. Maria tym razem nie patrzyła na wodę, ale przyglądała się ludziom, jakby chciała odgadnąć, z kim będzie się bawić wieczorem. On leżał przy niej, usiłował skoncentrować myśli na książce, lecz plaża tak napęczniała ludźmi, że półnagi tłum wylewał się na trawę, gdzie leżeli. Później Maria zaproponowała spacer wzdłuż brzegu.

Szli, nic nie mówiąc. Maria brnęła w piasku i śledziła dym, który się zjawił na wodzie i zbliżał ku nim bardzo nieporadnie. W połowie drogi od horyzontu statek zmienił kurs i oddalił się na wschód w stronę Zatoki.

Później wydało mu się, że to jest ich ostatni wspólny spacer. Zerknął na Marię, która odpowiedziała spojrzeniem bez uśmiechu, pomyślał zatem, że i ona wie o tym. Wyminęli nadbrzeżne zarośla i wydostali się na dziką plażę. Nieco wyżej był las, a w odległości stu metrów biegli marynarze w mundurach z żaglowego płótna, nagleni krzykiem obracającego się na pięcie podoficera. Kilku zatrzymało się na moment; patrzyli na Marię brnącą pracowicie przez wydmę w niebieskim dwuczęściowym kostiumie. Potem znowu szli sami wzdłuż łachy piasku. Maria wyprzedzała go, bielały przed nim jej pięty. Kiedy na powrót znaleźli się obok siebie, spojrzała zatrzymując wzrok na jego twarzy nieco dłużej.

— Zmizerniałeś — powiedziała zrobiwszy gest jakby go brała za rękę, ale jej dłoń zwisła bezwładnie.

Teraz on spojrzał na nią uważniej i dostrzegł, że jej twarz, opalona, z kropelkami potu na czole, starsza jest od twarzy, na którą patrzył kiedyś. Na czole pojawiły się bruzdy, wokół oczu rozpięła się sieć zmarszczek, ich płytkie wgłębienia były nieopalone.

— Ty też zmizerniałaś — powiedział.

Były to ostatnie słowa, jakie wypowiedzieli tego dnia.

Odpoczęli na dzikiej plaży, wąskiej i osłoniętej zewsząd krzywizną brzegu i zarośli biegnących z wysokich zboczy, i wrócili na dawne miejsce do zgiełku i tłumu. Maria znów nie patrzyła na morze i nie szukała spłoszonych ptaków. Spoglądała na ludzi. Byli przeważnie młodzi: młodzi mężczyźni i bardzo młode dziewczęta. Idąc za jej spojrzeniem od jednej do drugiej sylwetki wyobrażał sobie, że śledzi myśli Marii usiłującej odgadnąć, jaki będzie jej następny mężczyzna. Nie poczuł się tym wstrząśnięty. On także, gdyby wybrał jakąś dziewczynę, rozpocząłby nowe życie.

Zastanawiał się później, jak się wkrótce ułożą ich wspólne sprawy, ale nie umiał powiedzieć, czy niosą im nieustanny smutek, czy tylko brak szczęścia, jakiego kiedyś chcieli. Nie wiedział, co by było gorsze. Był teraz pewny, że jego myśli i pragnienia razem z męczącą pogonią za życzliwością Marii są jednym pasmem nieporozumień. Nie liczy się tu ich wzajemny stosunek do siebie, sprawa ma wymiar inny. Wszystko, co teraz ich trapi, jest konsekwencją urzeczenia przeciwnościami kobiecości i męskości, które ich kiedyś pociągnęły ku sobie i na których tak dużo chcieli budować. To było jednak dawno, a teraz, bez względu na uczucie, i on i Maria są ilustracją zawartego w ludzkim materiale dążenia do szczęścia i nieustannej walki o jego zindywidualizowaną postać. Te, złączone, tak długo będą uniemożliwiać korzystny rezultat, dopóki oboje z czegoś bardzo ważnego nie zrezygnują.

W rosnącym teraz spokoju leżał przy Marii i patrzył z nią razem na ludzi, którzy kręcili się i zmieniali miejscami niczym okruchy szkła w gorącym kalejdoskopie. Mężczyźni grali w piłkę, a dziewczęta sekundowały krzykami. Biegły za uciekającą kulą, chwytały ją i podskakiwały, a wnętrze smukłych ud wyjawiało napięte ścięgna. Słońce zżerało ślady fal pełznących lunatycznie do brzegu. A potem pokazały się ptaki. Jakaś kobieta przywiodła w pobliże dwoje dzieci i Maria nie dźwigając głowy patrzyła na jedne i drugie. Po czym odniósł wrażenie, że na plaży zapanował spokój. Głosy oddaliły się i przycichły, a twarz Marii, kiedy na nią spojrzał, wydała mu się bliższa niż kiedykolwiek. Pomyślał, że każde z nich pragnie pomyślności i nic nie łączy ich mocniej, bo tak czy inaczej skazani są na pomyłki wyboru i niepowodzenia, a starość, zamiast oczekiwanych wyników, przyniesie obojgu trochę mądrości, która z lat, jakie przeżyją, dobędzie dość pouczających rzeczy, by mogli żałować, że już ten czas im minął.

Chciał zerwać ten związek, bardzo tego pragnął przez moment. Długo spoglądał na Marię, a potem przeniósł wzrok na dziewczęta biegnące w słońcu z krzykiem, od którego wibrowało powietrze. Nie wierzył, aby następny związek był łatwiejszy i lepszy. Chciał się jednak zakochać, by odkryto go innym. Chciał, żeby dziewczyna była bardzo młoda i żeby nią mogła być Maria.

---

przeważnie pozbawione kolorytu lokalnego w rozdziałach i fragmentach *Człowieka bez właściwości*.

PIÓREM PUBLICYSTY

Najwydatniej Musil zużytkował jednak swój „posztkowany" czas na działalność krytyczno-eseistyczną, felietonową i publicystyczną, którą pilnie uprawiał zarówno w 1913 roku, jak i w następnym, po odejściu z wiedeńskiej biblioteki i objęciu stanowiska redaktora w „Die Neue Rundschau" w Berlinie, poważnym miesięczniku literackim, założonym i wydawanym przez Samuela Fischera. Na łamach tego miesięcznika i w piśmie Bleia „Der lose Vogel", oraz w kilku innych periodykach ekspresjonistycznych („Herderblätter", „Die Weissen Blätter", „Die Aktion", „Revolution", „Agronauten"), Musil opublikował przeszło dwadzieścia prac, w których z niezwykłym polotem i dowcipem, a jednocześnie z drążącą w głąb dociekliwością poruszał szeroki wachlarz życiowych, filozoficznych i literackich tematów — od mody panującej wśród berlińskich lesbijek i erotyczno-obyczajowych wniosków, płynących z emancypacji kobiet i ich czynnego udziału w społecznym i politycznym życiu w Szwecji, po rolę matematyki w świecie współczesnym i negatywną ocenę dramatu Hauptmanna *Gabriel Schillings Flucht*, czy pozytywne omówienie *Rozważań* i *Palacza* Franza Kafki, utworów ukazujących „jak daleka i ożywiona bywa dla niektórych ludzi droga od jednego dnia bez zdarzeń do drugiego." Warto tu wspomnieć, że Musil zaproponował wówczas Kafce współpracę z „Die Neue Rundschau", ale żadnych materiałów od niego nie otrzymał. „List od Musila — zanotował autor *Palacza* w swoich *Dziennikach* w lutym 1913 roku — raduje mnie i smuci, bo nic nie mam."

Szkice i felietony Musila, pełne oryginalnych myśli i zaskakujących sądów, jeszcze dziś czyta się doskonale, przy czym najciekawsze jest dla nas, że większość z nich wiąże się z fabularną twórczością pisarza, zwłaszcza z jego głównym dziełem. Drukowany w „Die Neue Rundschau" esej o książce Zur *Mechanik des Geistes* myśliciela, wielkiego przemysłowca i przyszłego polityka, Waltera Rathenaua, jest wraz z jego portretem narysowanym w *Dziennikach* ze stycznia 1914 roku wstępnym studium do postaci Arnheima w *Człowieku bez właściwości*. Rozważania na temat miłości i nienawiści oraz dobra i zła, które w gruncie rzeczy nie są „moralnymi przeciwieństwami" (patrz Nietzsche), lecz „zjawiskami paralelnymi", wyrastającymi z tego samego pnia, stanowią antycypację podobnych rozmyślań Ulricha. Tak jak jego logistyka, zbliżona do teorii pana Teste, bohatera *Valéry'ego*, jest już *in nuce* zawarta w *Matematycznym człowieku (Der mathematische Mensch)*, płomiennej a zarazem zabawnej pochwale matematyki, w której też czytamy: „Krzyczymy w obronie uczuć, a przeciwko intelektowi, zapominając, że uczucia bez intelektu są — pominąwszy wyjątki — czymś tak rozdętym jak mops. Przez to zniszczyliśmy już naszą literaturę do tego stopnia, że po przeczytaniu dwóch niemieckich powieści trzeba rozwiązać rachunek całkowy, aby psychicznie z powrotem otęchnąć". Wreszcie aforystyczno-ironiczny felieton *Polityka w Austrii (Politik in Österreich)* zamieszczony w 1913 roku w „Der lose Vogel" przedstawia wewnętrzną sytuację habsburskiej monarchii w niemal identycznym świetle i nieraz w identycznych słowach, jak *Człowiek bez właściwości*. „W tym państwie musi gdzieś tkwić jakaś tajemnica, jakaś idea — powiada Musil. — Ale w żaden sposób nie można jej odkryć". Kapitalna pogoń za nią jest głównym wątkiem narracyjnym pierwszej księgi wielkiej powieści.

ZAZDROŚĆ

Prawdę powiedziawszy, dobrze płatna praca w redakcji „Die Neue Rundschau" nie była, wbrew utyskiwaniom Musila, ani ciężka ani zbyt absorbująca i mogła stanowić dobrą podstawę materialną dla jego dalszej twórczości. Ale wybuchła wojna, która losom powołanego do służby wojskowej pisarza (po latach twierdził, że zaciągnął się ochotniczo) nadała inny bieg i — co odczuł najboleśniej — przerwała jego bliskie współżycie z Martą. Odtąd, zwłaszcza od chwili przyłączenia się Włoch do Ententy widywał się z żoną tylko od czasu do czasu w miastach etapowych za frontem lub na urlopie i wtedy ogarniały go jakieś niesłychanie intensywne stany miłosno-mistycznych uniesień, które odnotowane w *Dziennikach* stały się potem istotnym zalążkiem wielu fragmentów drugiej księgi *Człowieka bez właściwości*.

Po krótkich dniach ekstatycznego zespolenia z ukochaną przychodziły jednak długie tygodnie i miesiące rozłąki, tygodnie i miesiące ostrzejszej zazdrości i większej niepewności, niż kiedykolwiek. Zwłaszcza że Marta, zlikwidowawszy berlińskie mieszkanie i zostawiwszy córkę Anninę u swej siostry (syn Gaetano jeszcze przed wojną zamieszkał u ojca w Rzymie), prowadziła cygańskie życie i tułała się po hotelach i sublokatorskich pokojach. Musila nękała więc „dawna, dobrze znana obawa, że ten osobliwy tryb życia" mógłby samotną kobietę „narazić na pokusy", na zetknięcie się z mężczyzną, który ją omota, tak jak Anzelm omota w *Marzycielach* żonę Tomasza, Marię, noszącą w zachowanej w rzymskiej spuściźnie wersji sztuki z 1918 roku imię Marta. „Nie chciałbym cię nigdy zdradzić... — pisał Musil w wojennych *Dziennikach* — lecz ty potrafiłabyś to zrobić. Ty byłabyś do tego zdolna, nie mówiąc mi o tym ani słowa." Z tą fatalną świadomością podporucznik Robert Musil nieraz żegnał się z żoną przed powrotem do swojej jednostki w południowym Tyrolu, którego okolice pomiędzy Brixen a Trydentem są między innymi widownią akcji *Portugalki*, mistycznej noweli o wojnie i śmierci, o miłości i zazdrości, o tym, co autor najgłębiej przeżył w tamtych żołnierskich czasach i co jedynie ubrał w szaty średniowiecznej legendy.

Egon Naganowski

Skrócony rozdział z książki o życiu i twórczości Roberta Musila, którą autor przygotowuje dla Państwowego Instytutu Wydawniczego.

Okolice sztuki

5880?

KURIER LUBELSKI z 13 kwietnia br. donosi na pierwszej stronie u samej góry, że malarz Franciszek Kmita powrócił do Kazimierza. Na sąsiednich miejscach gazeta zamieszcza informacje o posiedzeniu Rady Ministrów PRL, o debacie w Wielkim Pałacu Kremlowskim, o prawicowej demonstracji w jednym z krajów Ameryki Południowej. Mniej wrażliwym czytelnikom kontekst ten podpowiada, że powrót Franciszka Kmity na łono Kazimierza jest wydarzeniem ważnym, kto wie, może niesie to zapowiedź jakiegoś przewrotu. Ale jaki to może być przewrót, jeśli w Kazimierzu już wszystko poprzewracane do góry nogami i to dawno temu?!

Są to jednak tylko przypuszczenia, fakty bowiem, o których informuje gazeta, przynoszą inne treści. Okazuje się bowiem, że malarz dwa zimowe miesiące wykorzystał na „egzotyczny plener". Zaokrętowany na polskim statku m/s „Głogów", malował w następujących krajach: „Belgia, Francja, Malta, Grecja, Liban, Syria i Egipt". Jaki jest plon artystycznej podróży? „Plon artystycznej podróży jest ogromny: 35 płócien olejnych i około 100 szkiców".

Łatwo obliczyć, że w ciągu jednego dnia Fr. Kmita wymalował prawie dwie trzecie obrazu i zrobił niemal dwa szkice. Jeśli talent tego plastyka będzie rozwijał się w tym samym tempie, od dziś do roku 2000 wyda on na świat 5880 obrazów i kilkanaście tysięcy szkiców. Wśród plastyków krajowych autor ten okaże się zapewne bezkonkurencyjny w akcji „Szukamy 20 miliardów". I niech ręka boska go broni przed pójściem w ślady Rouaulta, który niezadowolony kiedyś z dzieł swoich, spalił ich ponad trzysta sztuk! Zresztą los francuskiego artysty nie jest przeznaczony kazimierzowskiemu malarzowi, którego płótna cieszą się ogromnym wzięciem, można je spotkać w dziesiątkach kawiarni, restauracji, w urzędach i zakładach pracy, w domach prywatnych i instytucjach użyteczności publicznej, w zbiorach prywatnych w kraju i za granicą. Spotkanie z tymi obrazami jest jednak ryzykowne: dostarcza potężnych wzruszeń pozaartystycznych.

Leon Wyczółkowski urodził się w Hucie Miastkowskiej na Podlasiu. Szkołę ludową ukończył w Kamionce pod Lublinem. Jako student warszawskiej szkoły malarstwa i rysunku wakacje spędzał na wędrówkach po Lubelszczyźnie, odwiedzając m. in. Puławy, Krasnystaw, Zamość. Po drugim pobycie w Lublinie, w 1918 r., opracował znakomitą „Tekę", składającą się z siedemnastu autolitografii i poświęconą zabytkowej architekturze miasta. Pozostawił malarstwo o ogromnej sile wyrazu, w którym wyczuwa się biologiczny rytm pejzaży, będących terenem jego artystycznych wypraw.

Starzy lublinianie wspominają powitanie Leona Wyczółkowskiego przez prezydenta miasta: „Z ulicy Ogrodowej do pałacyku prezydenta przeciągnięto dywany, a orkiestra grała i grała..." I wszystko było na swoim miejscu, bo to był Leon Wyczółkowski.

Dziś już orkiestry nie witają malarzy, choćby byli to artyści najwięksi. Ale dziś można zagrać prasowo, fałszując nieco — nie ze złej woli, ale z braku słuchu, lub za sprawą pomieszania tonacji, co właśnie szczególnie prawdopodobne. Historia sztuki nowoczesnej nie jest bowiem historią autorytetów, lecz historią nazwisk. Autorytety wspierają wartości obiektywne, powszechnie uznane, nazwiska błyszczą dzięki mechanizmom lansującym, napędzanym przez okazje, sytuacje, orientacje. Kiedyś sztuka wznosiła się budowlą na podobieństwo Kościoła Powszechnego, obecnie przypomina termiterie, zamieszkałe przez kilkadziesiąt sekt, z których każda głosi własne racje. Sekciarstwo estetyczne ma już wymiar społeczny — o zakresie nie spotykanym do połowy XIX wieku. Oto opinie widzów jednej wystawy, wpisane do tzw. księgi pamiątkowej w 1971 r:

„Malarstwo powinno pokazywać otaczający nas świat, ale świat przyrody i ludzi w ich życiu, a nie coś oderwanego od tego, a takie wrażenie robią obrazy B."

„Chociaż oglądam często wystawy, jednak bardzo rzadko można spotkać takie prace, które dorównałyby wartością pracom B. Chociaż nie ma objaśnień do prac, można odczytać ich sens".

„Nie! Nie! Nie takiej sztuki potrzeba narodowi!".

„Niektóre rzeczy są rzeczywiście dla oczu, ale niektóre docierają do serca i mocno je poruszają. Otóż ja widzę w Panu patriotę i to bardzo głębokiego (obraz z biało-czerwonym sztandarem i „nadgryzającą" go czarną masą ZŁA)."

Różnice oczekiwań, upodobań, różnice tendencji i kierunków artystycznych — tak, to już weszło w stadium o nazwie elephantiasis. Co nie znaczy wcale, że nie można stwierdzić w obrazie jego banalności, wtórności, chwytów tandetnych, zgrywy pod tani sentyment. Wyczółkowski miał prawo do powitania z orkiestrą, natomiast... Po co zresztą gaworzyć o sprawach oczywistych...

IJK

W kolejce po prasę

Dokończenie ze str. 1

belskiego" trzeba zapłacić 50 gr, za „Forum" — 7 zł, a „Kameny" za darmo też nikt nie otrzyma. Prawda, za prasę się płaci, lecz prasy się nie sprzedaje, prasę się w Polsce nadziela. Nadział zaś tym się różni od sprzedaży, że nie kieruje nim popyt, lecz ograniczenia, a konwencjonalne miejsce jego lokalizacji znajduje się pod ladą, zamiast na niej. Pokaźna część owego nadziału najlepiej się czuje w warunkach kameralnych, czyli w teczkach z nazwiskami stałych klientów pani kioskarki. Tam właśnie trafiają: „Przyjaciółka", gigant masowy prasy polskiej, „Panorama", „Forum", „Kobieta i Życie", „Żyjmy dłużej", „Przekrój", „Kurier Polski", a także „Kurier Lubelski", choć nie całkiem. Studentów Studium Dziennikarskiego UW przekonuje się, że prasa jest narzędziem kształtowania opinii publicznej, co nie podlega ostatecznie dyskusji. Warto by przecież uzupełnić tę definicję, że jest to narzędzie oddane w ręce pani kioskarki, która w przydziale teczek kieruje się na ogół odruchem serca lub polityką dość odległą od oficjalnej.

Teczki są zjawiskiem dialektycznym, administracyjne próby ich likwidacji uruchamiają prasowo-kioskowe podziemie, które mając poparcie w dość szerokich i wpływowych kręgach społecznych, może prosperować jak na swobodzie, gwiżdżąc na sankcje. Tak i mądrzy ludzie z „Ruchu" na instytucję teczek nie plwają. Ludzie chcą czytać, lecz nie zawsze mają co czytać, bo deficyt prasy występuje we wszystkich środowiskach społeczno-zawodowych — przynajmniej na Lubelszczyźnie.

Prawda bowiem jest taka: w stosunku do przeciętnej sytuacji w kraju stopień czytelnictwa na Lubelszczyźnie jest niższy o jedną trzecią. Jeszcze ostrzejsze dysproporcje występują wewnątrz województwa, między powiatami rozwiniętymi a tymi, które — że posłużymy się eufemizmem — nadrabiają różnego rodzaju opóźnienia. Według obserwacji Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki „Ruch" w Lublinie, obserwacji wyjątkowo rzetelnie i konsekwentnie dokumentowanej, wspomniane dysproporcje pogłębiają się z roku na rok — przede wszystkim w planie ogólnopolskim, aczkolwiek w dekadzie 1960—1970 liczba egzemplarzy gazet i periodyków, będących do dyspozycji czytelników województwa, wzrastała szybciej niż średnio w kraju. Pozostałe województwa nie stały przecież w miejscu, a startowały z pozycji przewyższającej znacznie lubelską. W rezultacie wskaźnik czytelnictwa na Lubelszczyźnie nie osiągnął jeszcze poziomu krajowego — sprzed ponad dziesięciu lat! Pod względem stopnia czytelnictwa, mierzonego liczbą egzemplarzy na jednego mieszkańca, od roku 1965 zajmujemy 14 miejsce w kraju — przed Kieleckiem, Rzeszowskiem, Białostockiem i Warszawskiem. Podaj mi swój stopień czytelnictwa prasy, a powiem ci, na jakim szczeblu rozwoju społeczno-gospodarczego znajduje się twoje województwo...

Do osiągnięcia poziomu krajowej „przeciętności czytelniczej" zabrakło Lubelszczyźnie w 1970 roku 54 miliony egzemplarzy gazet i czasopism.

Od lat brakuje w kioskach lubelskich czasopism, których tytuły wymieniono przy okazji zjawiska „teczki", należących do grupy tzw. kolorówek i będących w dystrybucji centralnej. Prawie dwumilionowa liczba mieszkańców województwa daje nam 6-procentowy udział w liczbie ludności całego kraju. Tymczasem jednorazowo otrzymujemy 4,1 proc. ogólnego nakładu prasy polskiej. W grupie pism atrakcyjnych udział Lubelszczyzny był o 2,1 proc. niższy od tych wielkości, które miał do swojej dyspozycji czytelnik przeciętny z innych regionów. O 2,4 proc. mniej mamy „Forum", o 2,7 proc. — „Przekroju", o 3,6 proc. „Panoramy". Prowadzenie jakiejś sensownej i konsekwentnej polityki w zakresie upowszechniania prasy jest w tej sytuacji co najmniej kłopotliwe, a często wręcz niemożliwe.

Nakłady gazet lokalnych również nie zaspokajają w pełni potrzeb czytelniczych, dość powiedzieć, że „Sztandar Ludu" i „Kurier Lubelski" rozchodzą się w Lublinie w czasie od 1,5 do 2,5 godziny, a w innych miastach — od 3 do 5 godzin. Dzienniki te są dostępne dla niewiele ponad 10 proc. mieszkańców województwa, nad czym warto chyba się nieco dłużej zastanowić, tym bardziej, że w najbliższych latach należy liczyć się ze zwiększeniem zainteresowania właśnie prasą codzienną. Do roku 1980 ludność miast województwa wzrośnie do 810 tysięcy, czyli w stosunku do 1970 r. o 37,4 procenta, wiadomo zaś, że miejski rynek prasowy chłonie gazety niczym gąbka wodę. „Ruch" widzi konieczność zwiększenia jednorazowych nakładów „Sztandaru Ludu" do 220 tys. w 1975 r. i 270 w 1980 roku, lecz naszym zdaniem nie rozwiąże to problemu. Przede wszystkim jednak zapytajmy, czy warunki techniczne umożliwiają osiągnięcie takiego poziomu?

Drukarnia lubelska jest już nieco sfatygowana, pracuje na maksymalnej mocy. Wzrost nakładu gazety powyżej 250 tys. egzemplarzy i objętości powyżej czterech kolumn wydłużyłby znacznie cykl druku, co pociągnęłoby za sobą albo opóźnienie dostaw prasy do punktów sprzedaży, albo — w wypadku wcześniejszego zamknięcia gazety — pogorszenie jej jakości. Bez modernizacji i rozbudowy Lubelskich Zakładów Graficznych nie ma co marzyć o zwiększeniu nakładu dziennika i przyśpieszeniu kolportażu.

Ten ostatni moment jest niezwykle ważny dla zdrowia prasy. Od operatywności „Ruchu", jedynego przedsiębiorstwa w Polsce (jeśli nie liczyć poczty), zajmującego się rozprowadzaniem prasy i upowszechnianiem czytelnictwa, zależy bowiem zakres i skuteczność społecznego oddziaływania gazet i czasopism. Niektórzy narzekają, co prawda, że kioski „Ruchu" chętniej handlują zabawkami, mydłem i pastą do zębów, niż „Kulturą" na przykład, lecz w gruncie rzeczy są to niecne pomówienia — jeśli nie liczyć przypadków sporadycznych.

Informacja prasowa jest tym cenniejsza, im szybciej dotrze do czytelnika. Obecny system przewozu gazet i czasopism jest jednak dość czasochłonny, bo składa się z kilku etapów. Tak np. wydawnictwa centralne transportuje się koleją, a następnie samochodami własnymi lub PKS-u, nierzadko korzystając po prostu z dobrej woli maszynistów czy kierowców. Z rozdzielni powiatowych do sieci wiejskiej przewozi się prasę przede wszystkim autobusami PKS, które nie są przecież przystosowane do takiej funkcji i nie docierają do wszystkich miejscowości. „Ruch", który w ostatnich dwóch latach rozwiązał szereg problemów techniczno-organizacyjnych kolportażu, nie spodziewa się w tym względzie radykalniejszej poprawy, albowiem istniejący układ komunikacyjny nie ulegnie istotniejszym zmianom. Charakteryzuje się on równoleżnikowym przebiegiem głównych powiązań kolejowych i południkowym — dróg publicznych. Brak jest dostatecznej liczby bezpośrednich połączeń pomiędzy sąsiadującymi powiatami, a stopień zagęszczenia dróg na 100 km kwadr. jest na Lubelszczyźnie najniższy w kraju. Szybsza dostawa prasy przyhamowana jest szczególnie we wschodnich rejonach województwa.

Również sieć punktów sprzedaży detalicznej nie jest — za sprawą aktualnych do niedawna ograniczeń inwestycyjnych — proporcjonalna do wielkości i potrzeb województwa. W połowie ub. roku punktów tych było 1482: na wsi — 867, w Lublinie — 209, w pozostałych miastach — 406; niemal 32 proc. owej sieci to kluby, usytuowane przede wszystkim we wsiach. 1 punkt sprzedaży przypada na 1333 mieszkańców (w kraju na 1134): w miastach — na 980 (w kraju na 991), na wsi — na 1573 (w kraju na 1348). Na terenach wiejskich potencjał organizacyjny „Ruchu" jest 35 razy mniejszy od tego, którym dysponują miasta — służąc dwa i pół raza większej liczbie ludności! Statystycznie rzecz biorąc tylko co ósma wieś posiada kiosk lub klub z prasą, a patrząc pod innym kątem — z 326 gromad 15 nie dysponuje żadnym punktem sprzedaży detalicznej. W stosunku do mieszkańca miasta, obywatel żyjący na wsi otrzymuje pięciokrotnie mniej gazet i czasopism. Ludność wiejska stanowi dwie trzecie ogółu ludności województwa, lecz odbiera zaledwie 31 proc. prasy dostępnej na naszym rynku.

Zapytajmy przecież, czy na wsi istnieje większe zapotrzebowanie społeczne na prasę? Odpowiedzi dostarcza sytuacja w powiecie janowskim, należącym do grupy mniej rozwiniętych w województwie, w którym, tytułem próby, „Ruch" wprowadził w 1970 r. tzw. nielimitowane nadziały prasy, czyli dostarczał tyle egzemplarzy gazet i periodyków, ile powiat chciał. O efektach tej decyzji najwymowniej świadczy statystyka. Jeśli zatem w 1969 r. średni jednorazowy nadział wszystkich tytułów dostępnych w kioskach i klubach równał się 5795 egzemplarzom, to w roku następnym, eksperymentalnym, podskoczył do 8068 egzemplarzy, aby w 1971 r. osiągnąć poziom 8340. Wieś czyta i chce czytać więcej, lecz nie popadajmy w euforię, bo zakres tytułów popularnych w tych środowiskach jest dość ograniczony, a niesłabnącym powodzeniem cieszy się „Przyjaciółka". Na kolana jednak przed damskim tygodnikiem, bo — zdaniem fachowców — pełni on pożyteczną rolę konia trojańskiego, przemycającego na wieś nawyk czytania.

Efekty owego pomysłu są przecież problematyczne, co ilustruje czytelnicze wzięcie czasopism społeczno-kulturalnych i im pokrewnych, takich, jak „Kultura", „Polityka", „Życie Literackie", „Kamena", „Tygodnik Kulturalny". 45 procent ich nadziału trafia na rynek Lublina, ok. 8 proc. odbierają Puławy, a po 5 proc. — Zamość i Chełm. W Bełżycach, Bychawie, Janowie, Krasnymstawie, Łukowie, Parczewie i Włodawie łączne rozprowadzenie tych tytułów nie przekracza 100 egzemplarzy. Zafrasowanie nasze powiększa się przecież przy fakcie, że grupa tych czasopism partycypuje w jednorazowym nadziale prasy zaledwie w wysokości 1,7 proc.! Dodajmy jeszcze, że jedną trzecią zapotrzebowania na periodyki społeczno-kulturalne pokrywa „Kamena", co dając redakcji pewną satysfakcję, skłania przecież do bezradnej zadumy nad szczupłością wyboru tytułów pozalubelskich.

Lubelski „Ruch" opracował kilkuletni program upowszechniania i kolportażu prasy w województwie, zawierający szereg racjonalnych oraz — zdaniem przedsiębiorstwa — realnych propozycji rozwiązań zagadnień organizacyjno-technicznych, warunkujących społeczne funkcjonowanie prasy. Skuteczność tych reform i usprawnień jest jednak proporcjonalna do statusu i możliwości „Ruchu", który ostatecznie nie decyduje o stanie naszej poligrafii, o ilościach papieru, będących do dyspozycji wydawnictw prasowych, o dystrybucji czasopism i gazet centralnych. Jaki jest zatem cel generalny polityki w zakresie upowszechniania i kolportażu prasy na Lubelszczyźnie w bieżącym dziesięcioleciu? Niedopuszczenie do pogłębienia się dysproporcji w stopniu czytelnictwa między województwem a „resztą kraju", pojmowaną statystycznie. Chodzi o utrzymanie tej dysproporcji na poziomie 1970 roku.

Smutna to perspektywa.

Fakty decyzji centralnych władz partyjnych i państwowych, zmierzających do modernizacji krajowej bazy poligraficznej i zwiększenia przydziałów papieru dla potrzeb prasy, ujawnią się bowiem nie wcześniej, niż za kilka lat.

Ireneusz J. Kamiński

Zofia Kurdziel — lubelska kioskarka
Fot. J. Trembecki (CAF)

Kamena str. 10

Listy do KAMENY

„Fiatem - dalej"

Uprzejmie dziękujemy za wnikliwą ocenę organizowanego przez n. Zakład konkursu na hasło, reklamujące Polskiego Fiata.

Ubolewamy jedynie, że niezbyt dokładnie udało się Sz. Panu Redaktorowi wysłuchać werdyktu jury, a natomiast umknęła Panu możliwość zapoznania się z całością materiału konkursowego. Zostały przedstawione w nim w sposób nader kompletny uroki samochodu, produkowanego przez nas.

Co dalej — podejrzewamy, że superowany przez Sz. Pana Redaktora konkurs na antyhasło nie cieszyłby się taką popularnością, albowiem, jak Pan słusznie podkreśla, jesteśmy społeczeństwem nastawionym motoryzacyjnie, a w myśl tego jest zapotrzebowanie społeczne na optymizm.

Przykro nam, że nie połknął Pan bakcyla motoryzacji, ponieważ w przeciwnym razie istotnie bylibyśmy skłonni rozpatrzyć przyznanie Panu Redaktorowi cennej nagrody motoryzacyjnej za „urocze" antyhasło, zamieszczone we wzmiankowanym felietonie.

Tym samym mamy nadzieję, że nie zrealizuje Pan swojego pierwszego, poważnego ostrzeżenia i miejsca użyteczności publicznej — acz używane najbardziej prywatnie — nie będą w dalszej kolejności łamami, na których Pan Redaktor będzie reklamował Polskiego Fiata.

Łączymy serdeczne pozdrowienia

Dyrektor
Fabryki Samochodów Osobowych
inż. Jerzy Bielecki

Nie Kiełbasiński lecz Kiełbiński

W nr 8 „Kameny" z dnia 9.IV.1972 roku został zamieszczony mój artykuł o wystawie twórczości retrospektywnej Czesława Kiełbińskiego, która miała miejsce w marcu br. w krakowskim Pałacu Sztuki. W artykule tym zostało jednak przekręcone nazwisko artysty, stąd też jego tytuł brzmiał: „Sztuka Czesława Kiełbasińskiego". Złośliwy chochlik redakcyjny nieraz płatał figla

MOJE LEKTURY

Listy Oktawii Żeromskiej

OKTAWIA Żeromska istnieje w świadomości czytelników w kilku wcieleniach, które przez częste powtarzanie ukształtowały się już w pewne stereotypy. Jest więc postacią literacką jako Madzia w „Emancypantkach" i Joasia w „Ludziach bezdomnych". Obie te postacie łączy wielka dobroć i skłonność do nieograniczonych poświęceń, są to jednocześnie utrwalone w różnych przekazach osobiste cechy Oktawii. Ona przecież w egzaltacji oddaje swą rękę powstańcowi i sybirakowi, by wynagrodzić mu nieodwzajemnioną miłość do jej matki. Wersje inne mówią o zabieganej i poświęcającej się pisarzowi żonie, która chce mu stworzyć jak najlepsze warunki do pracy twórczej. Jest jeszcze wersja ostatnia, według niej Oktawia to już na pół normalna, zniszczona życiem kobieta, rozkładająca na cmentarzu najdroższe pamiątki — listy i fotografie. Oktawia Żeromska sama jest współtwórczynią własnej legendy: na jej opowiadaniach i dostarczonym przez nią materiale oparta została znana książka S. Piołun-Noyszewskiego, sporo szczegółów zanotował z rozmów z Oktawią Wacław Borowy.

Powodzenie opracowań literackich w rodzaju „Oktawii" Krystyny Jabłońskiej potwierdza, iż osoba żony Żeromskiego budzi nadal żywe zainteresowanie. Do jakich stanów dziś jeszcze mogą dochodzić w tej sprawie ludzkie emocje, można się łatwo przekonać: wystarczy przysłuchać się rozmowom zwiedzających „Chatę" Żeromskiego w Nałęczowie. Na poczekaniu tworzą się stronnictwa za lub przeciw Żeromskiemu, za lub przeciw Oktawii. A przecież tworzenie takich stronnictw nie ma sensu. Dostępny dziś materiał epistolarny i wspomnieniowy — jakże on fragmentaryczny, kruchy i niepewny.

Czy wydane pięknie i dobrze opracowane przez Z. J. Adamczyka Oktawii „Listy do Stefana Żeromskiego" wnoszą coś nowego do sprawy? Na pewno tak, choć trzeba od razu powiedzieć, iż mogą one sprawić uczucie pewnego zawodu. Stanowią bowiem zaledwie ułamek wieloletniej korespondencji jej z Żeromskim, skupiony niemal wyłącznie wokół dwu dat: 1896 i 1909. Kto wie, czy nie warto było pokusić się o układanie „dwugłosów", o zestawienie obok siebie listów obojga Żeromskich. O ileż pełniej i bogaciej odbijają się bowiem sprawy ich życia w listach autora „Popiołów". Wystarczy przeczytać listy Żeromskiego do Oktawii, przytoczone w książce Piołun-Noyszewskiego. Nie dorówna im skromne pióro jego żony. Adamczyk w przypisach daje namiastkę takich dwugłosów, cytując często fragmenty listów Żeromskiego, ale czytelnik wolałby je widzieć w całości.

A w ogóle na wydane w książce listy Oktawii trzeba spoglądać w szerszym kontekście (wstęp Adamczyka dość dokładnie i wiernie ten kontekst nakreśla). Trzeba pamiętać choćby o początkach znajomości jej z Żeromskim, utrwalonych w „Dziennikach", które przesłonięte zostały przez późniejsze wydarzenia.

Życie Żeromskich — przypominam tu rzeczy powszechnie znane z licznych książek i szkiców — upływało pod znakiem rozstań, podróży, chorób pisarza i jego żony, trosk materialnych. W jednym z wczesnych listów Oktawii już pojawia się ten motyw: *Ach te pieniądze, często brak ich jest mocno bolesny.* Książki Żeromskiego nie od razu zapewniają bowiem dostatek, Oktawia w rodzinnej willi w Nałęczowie prowadzi więc w sezonie pensjonat. Toteż nic dziwnego, że jej listy nałęczowskie są — jak zauważa ich wydawca — „wypełnione materią codzienności".

Każdy niemal list jest z niej utkany: *Ja tu pracuję bardzo, byle do ładu doprowadzić i pokończyć rachunki, bo Ty wiesz, co to wiosna, płać i płać za reperacje i za zimowe zaległości.* A gdzie indziej: *Najdroższy Stefaneczku! Trochę odpoczęłam, Janek wyjechał i ja z Henią, Adamem i malutkim siedzę w chacie. Ach, co to za rozkosz, tak tu cicho, tak miło. Tam na willi, chociaż w oficynce, ja spokoju nie mam, bo i Mama, i lokatorzy męczą, dręczą. Żeby nie te podłe pieniądze, że ich tyle potrzeba nie tylko dla nas, ale i dla ochrony, i dla dzieci, to by człowiek cisnął robotę, bo starość nie radość (...)*

Oktawia jest uwikłana w drobiazgi powszedniego dnia, a wszystko, co robi, podporządkowuje mężowi i synowi. Pod nieobecność pisarza w Nałęczowie troszczy się także o sprawy szersze, bliskie Żeromskiemu — zajmuje się teatrem, ochronką, kwestiami wydawniczymi. Ważne sprawy mieszają się z drobnymi, sprawy nałęczowskie przetykają się ze sprawami twórczości autora „Ludzi bezdomnych". Dają więc listy Oktawii — jak podkreśla Adamczyk — swoisty portret Żeromskiego, stanowią też „interesujący dokument obyczaju i życia codziennego epoki". Toteż — mimo uczucia niedosytu i żalu, że nie udało się wykorzystać wszystkich zachowanych listów Żeromskiej — miłośnik Żeromskiego znajdzie tu wiele ciekawych rzeczy; bogaci się też obraz Nałęczowa z czasów Prusa i Żeromskiego, wiele osób zapomnianych przywraca się naszej pamięci, wiele faktów wydobywa z zapomnienia. Wiele zaś spraw i postaci przybliża w objaśnieniach kompetentny komentator i wydawca listów.

W jednym miejscu pragnę dodać uzupełnienie. Kilkakrotnie pojawia się mianowicie w listach nazwisko Sokołowskiego z Sieprawek, u którego przez zimę przechowywała się Łyska, ulubiony koń Adasia Żeromskiego. Powiada Adamczyk, że „nic bliższego o nim nie wiadomo". A ciekawa to była postać! W książce „Z dziejów dawnego i współczesnego Nałęczowa" (Warszawa 1925) Mieczysław Rogalski wspomina, że przed I wojną światową odbył z prof. Władysławem Tatarkiewiczem wycieczkę do Sieprawek, właśnie do Sokołowskiego, który w swoim dworku zgromadził bardzo cenne zbiory starej broni, zbroi, malarstwa i dzieł sztuki. Sokołowski wygłaszał też w Nałęczowie odczyty. Co się z tymi zbiorami stało — nie wiadomo. Przed paru laty udaliśmy się do Sieprawek z plastykiem Jerzym Kursą wspomnianym wyżej tropem. Zobaczyliśmy tylko ruiny rozebranego nieco wcześniej dworku.

Powróćmy jeszcze na chwilę do listów. Czy kryzys małżeński był nieunikniony? Myślę, że przesłanki do odpowiedzi znajdują się w „Dziennikach" Żeromskiego: *Ta tylko kobieta pozyska moje nerwy na własność, która mię napoi goryczą, która mię zmusi, abym dla niej samej coś wycierpiał, która mię będzie odpychać ze świadomym czy bezwiednym uporem. Pierwszy ból jest i pierwszym uczuciem miłości. Mnie pociąga pomimo mej woli wszelkie n i e.* A Oktawia — Madzia — Joasia — stanowiła takiej kobiety zaprzeczenie. I już od początku skazana była na klęskę. Osobista przegrana zawiera jednak element zwycięstwa: dzięki Żeromskiemu właśnie przeszła do literackiej legendy.

Tadeusz Kłak

Oktawia Żeromska: Listy do Stefana Żeromskiego. Opracował, wstępem i przypisami opatrzył Zdzisław Jerzy Adamczyk. Łódź 1972 r. Wydawnictwo Łódzkie.

Krzyżówka nr 10

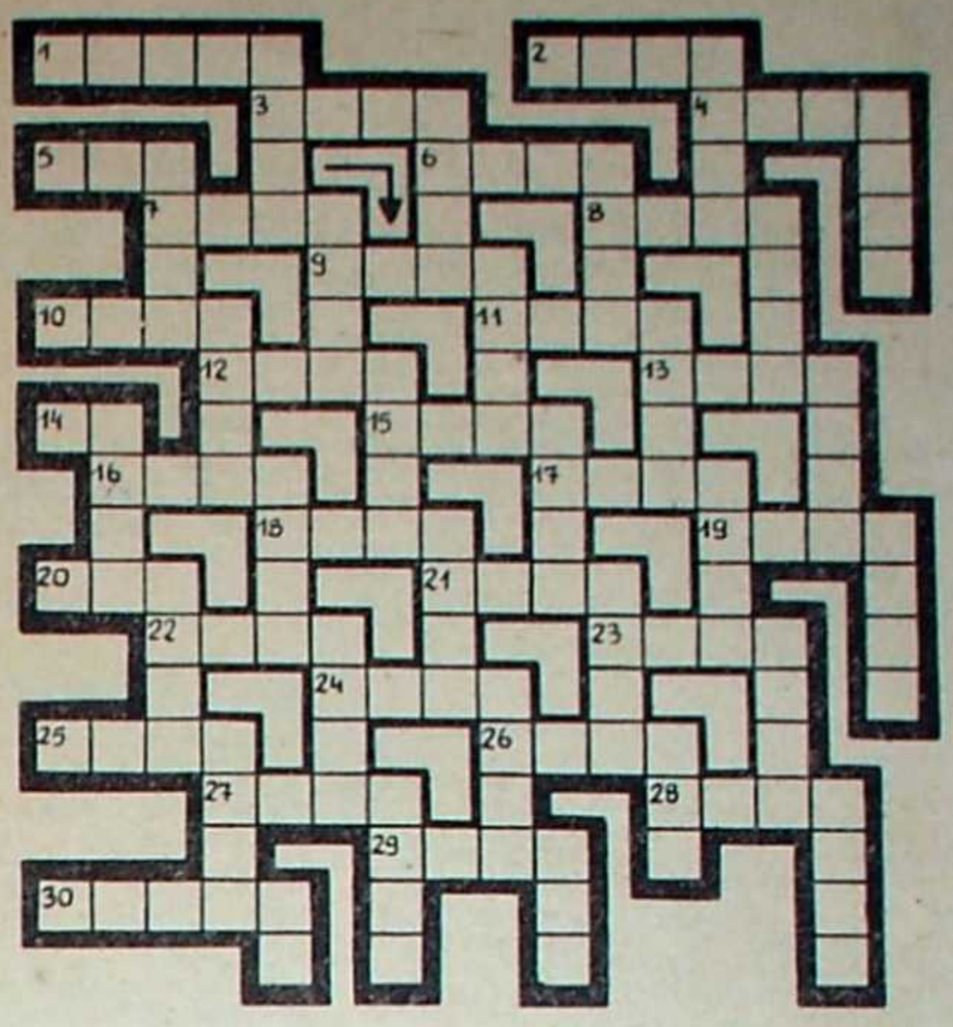

Do diagramu wpisać 30 wyrazów o poniższych znaczeniach w sposób wskazany strzałką, tzn. pierwszą część wyrazu wpisuje się poziomo, a drugą pionowo.

Znaczenie wyrazów:

1) polski krytyk literacki, prozaik i tłumacz, autor opowiadania „Śmierć liberała", 2) laureat literackiej nagrody Nobla w 1955 r., 3) poeta, twórca patriotycznej poezji pozostającej pod wpływem J. Słowackiego (1823—97), 4) polski poeta i tłumacz, autor zbiorów „Bajki i prawdy", „W puszczy", 5) rosyjski myśliciel; pisarz, rewolucyjny demokrata, autor powieści „Sroka złodziejka", i „Czyja wina", 6) przedstawiciel symbolizmu rosyjskiego (1863—1927), 7) pisarz niemiecki, z zawodu lekarz, autor głównie powieści autobiograficznych („Doktor Gion"), 8) pisarka angielska, szkice i powieści społeczne jak „Cranford" (1810—65), 9) austriacki prozaik i malarz, nastrojowe opowiadania („Studien"), powieści „Der Nachsommer", „Witiko", 10) autor głośnych sztuk teatralnych: „Łysa śpiewaczka", „Krzesła", „Nosorożec", 11) wybitny poeta radzieckiej Gruzji, liryk, początkowo symbolista, później kontynuator tradycji klasycznych (1892—1959), 12) autor pierwszej polskiej powieści obyczajowej „Pan starosta" (1732—1766), 13) pisarka włoska, nagroda Nobla w 1926 r., 14) autor dramatu „Trąd w pałacu sprawiedliwości", 15) włoski teoretyk i reżyser filmowy, pisarz i scenarzysta (1902—58), 16) liryk grecki z Megary, elegie, pieśni biesiadne, zachowanych ok. 1400 wierszy, 17) pisarz, publicysta i polityk, przedstawiciel indygenizmu w brazylijskiej literaturze romantycznej (1829—77), 18) członek grupy Sierpionowy bratja (1895—1963), 19) najwybitniejszy poeta średniowiecznej Anglii, w poemacie „Opowieści kanteberyjskie" ukazał barwny, przesycony humorem wszechstronny obraz ang. społeczeństwa, 20) przedstawiciel młodej współczesnej literatury radzieckiej, prozaik, 21) poeta szkocki, prekursor romantyzmu (1700—48), 22) wybitna poetka chilijska lub poeta i pisarz francuski, 23) pisarz amerykański pochodzenia ormiańskiego, przesycone humorem i liryzmem opowiadania („Chłopiec na lotnym trapezie") i powieści („Śmierć nie omija Itaki"), 24) przywódca Plejady francuskiej, 25) chorwacki pisarz, tłumacz i popularyzator literatury polskiej (1883—1957), 26) angielski filozof kultury, krytyk literacki, poeta i pedagog (1822—88), 27) poeta grecki, uczestnik ruchu narodowowyzwoleńczego (1798—1857), 28) współczesny powieściopisarz i eseista angielski, autor „Opowieści o roku 1629", „Łun nad Smithfield", 29) pisarz węgierski, autor poematu dramatycznego „Tragedia człowieka" (1823—64), 30) wybitny dramaturg niemiecki, napisał m. in. „Operę za 3 grosze".

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 8

Człowiek tworzy dobra materialne, ale bogactwo nigdy nie stworzy człowieka.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 8 nagrody wylosowali:

Andrzej Puchlik, Lublin, ul. Krzywa 6; Marta Gościło, Łuków, ul. Świerczewskiego bl. 5 m. 106; Anna Humin, Zamość, ul. Pereca nr 2; internat PLSP; Kazimierz Piluś, Wronowice, p-ta Turkowice, pow. Hrubieszów.

O eksperymencie lubelskim

SPORO się mówiło i pisało o konieczności unowocześnienia nauczania i wychowania i sporo się robiło na Lubelszczyźnie w tej dziedzinie. Książka Edwarda Zachajkiewicza bilansuje te sprawy wielostronnie i przekonywająco, udostępniając teoretykom i praktykom, parającym się oświatą i wychowaniem, mechanizm tworzenia się, dojrzewania i rozprzestrzeniania doświadczeń poważnej grupy nauczycieli i wychowawców, współautorów praktycznego nowatorstwa pedagogicznego. Oto — wg Zachajkiewicza — zasadnicze momenty owego nowatorstwa: 1). doskonalenie nauczycieli w zespołach samokształceniowych oraz poprzez dyskusje problemowe, 2) praca nauczycieli w różnych typach szkół nad dowolnie obranym kierunkiem „wiodącym" (dobór i zakres tematyki uzależniony od inicjatywy rady pedagogicznej i nauczycieli danej szkoły), 3) realizacja generalnych założeń eksperymentu wysuwanych przez komisję koordynacyjną oraz przez poszczególne placówki oświatowo-wychowawcze, niezależnie od wybranego kierunku wiodącego, 4) przeprowadzenie eksperymentu masowego, polegającego na łączeniu wszystkich sprawdzalnych form pracy we wszystkich szkołach jednego powiatu (puławskiego).

Autor w pierwszym rozdziale omówił stan szkolnictwa na Lubelszczyźnie, tzn. podał ilość szkół, młodzieży, wykształcenie i ilość nauczycieli. Wynika stąd, że eksperyment można z powodzeniem przeprowadzać niekoniecznie w idealnych warunkach. Gwoli obiektywnej oceny sytuacji w okresie powstawania eksperymentu Zachajkiewicz podkreśla wszak, że — mimo trudnych warunków zniszczonej przez okupanta Lubelszczyzny — sytuacja przy wprowadzaniu nowatorstwa była częściowo ułatwiona, ponieważ teren ten na tym odcinku miał długie stosunkowo tradycje, jak również osiągnięcia. Tradycje owe sięgają czasów przesławnej Komisji Edukacji Narodowej.

Pisząc o sojusznikach, współtwórcach sukcesu, autor podkreśla jak ważne jest zgromadzenie wokół nowych poczynań „autorytetu społecznego i politycznego..., opracowanie jednolitego systemu wychowania, który by określił nie tylko konkretne zadania ideowo-wychowawcze, lecz również kierunek działania wszystkich instytucji kształtujących świadomość młodzieży... Trzeba zdążać, aby wychowanek mógł odnaleźć w otaczającym go świecie dzieło własnych rąk". Nie osiągnie się tego, jeśli uczeń będzie nadal w procesie nauczania i wychowania bierny. Jeśli w szkole nadal pokutować będą stare, skostniałe już nawyki i metody.

Oddając w swojej pracy należne miejsce i uznanie takim uczonym jak: E. Fleming, K. Lech, W. Okoń, B. Suchodolski i innym, działającym bezpośrednio lub pośrednio w eksperymencie lubelskim, Zachajkiewicz stwierdza: „Prawa i prawidłowości procesów dydaktyczno - wychowawczych są często tylko ogólnie formułowane przez naukowców. Dlatego też chodzi o wdrażanie tych ogólnych założeń w pracy każdego nauczyciela, który zna założenia programowe swojego przedmiotu, ale często napotyka trudności w realizacji słusznych postulatów".

Książka bardzo obiektywnie ocenia realizację odważnego zamierzenia, podając i niepowodzenia, jakie spotkały „grupę lubelską". Podnosi to wartość pracy, a innym kuratoriom stwarza możliwość uniknięcia tych błędów. Zachajkiewicz pisze: „Mankamentem jednak dotychczasowej działalności było niedostateczne sprecyzowanie i rozumienie całej złożoności nowego systemu dydaktyczno - wychowaczego. Stąd też wdrażanie ograniczało się do popularyzowania tylko niektórych jego elementów. W wielu przypadkach główny akcent kładziono na modernizację bazy i organizację nauczania, nie dostrzegając znaczenia pozostałych czynnników nowego systemu. Słabą również stroną wdrażania nowego systemu było sprowadzenie go do informacji słowno-poglądowych oraz do pokazów praktycznego zastosowania na wybranych (wycinkowych) lekcjach, nie dających pełnego obrazu funkcjonowania całego systemu i jego wartości dydaktyczno-wychowawczych".

Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego — dodaje autor — „oceniając pozytywnie osiągnięcia eksperymentu lubelskiego w pierwszym pięcioleciu, przydzieliło Instytutowi Nauk Pedagogicznych i Filozoficznych Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej odpowiednie środki, umożliwiające ukończenie w drugim etapie zaawansowanych prac eksperymentalnych w zakresie konkretyzacji i wdrażania do praktyki osiągnięć nowego systemu nauczania". Przy takim ustawieniu istnieje realna możliwość, że lubelscy eksperymentatorzy swój zamiar w pełni zrealizują.

Jak wygląda eksperyment lubelski na tle kraju? Pomimo że Rada Postępu Pedagogicznego w Lublinie powstała jako czwarta w Polsce, to jednak Lubelszczyzna posiadała w 1970 roku najwięcej szkół eksperymentalnych: 106 przy 293 w całym kraju. Porównanie wskazuje jasno wielkość wysiłku, którego zresztą jednym z inicjatorów jest autor omawianej książki.

Witold Kowalski

Edward Zachajkiewicz, Lubelski eksperyment oświatowo-pedagogiczny, Warszawa 1971.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamał KONSTANTY KĘPA

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 1051. 19.IV.72. 10966. B-4.

zasłużonemu artyście i w wielu enuncjacjach prasowych występuje zamiast Kiełbińskiego — Kiełbasiński. Sam artysta niemal nosi się z zamiarem zmiany swego nazwiska, aby dostosować się do wymogów korektorskich. Niemniej jednak, dopóki tego nie uczyni, pozostaje nadal pod swym rodowym nazwiskiem, jako Czesław KIEŁBIŃSKI. Stąd też proszę o zamieszczenie stosownego sprostowania.

Swoją drogą mam nadzieję, że zamojscy krajanie, jak również ci, którzy znają sztukę Czesława Kiełbińskiego, zapewne zorientowali się w czym rzecz, że w artykule jest właśnie mowa o znakomitym i zasłużonym artyście krakowskim, a nie nikomu nie znanym Kiełbasińskim.

Ryszard Dzieszyński

Od redakcji: Chochlik działał istotnie, ale nie w redakcji i nie w drukarni, niczemu też nie jest winna nasza korektorka. Błąd popełnił autor (dowód w redakcyjnym archiwum). Tak czy inaczej — przepraszamy zainteresowanego.

Du Chateau

Po długich staraniach i za sporą sumę pieniędzy władze hrubieszowskie przejęły z rąk prywatnych znany pałacyk du Chateau, umieszczając w głównym korpusie (na pierwszym piętrze) muzeum regionalne. W dalszym jednak ciągu na parterze i w bocznym skrzydle mieszkają prywatni lokatorzy, którzy zgodnie z prawami natury żyją i rozmnażają się. Wydaje się przecież, że cały obiekt winien być przeznaczony na cele kulturalne. Posiada on wcale ciekawą historię, a jego pomieszczenia w zasadzie nie nadają się na współczesne mieszkania. Przekwaterowanie lokatorów jest w tej chwili raczej niemożliwe ze względu na trudności mieszkaniowe Hrubieszowa, lecz władze miasta powinny starać się o możliwie szybkie rozwiązanie problemu. W tej chwili chcąc się dostać do muzeum, trzeba sforsować stertę desek, ominąć beczki po kapuście, jakieś brudne miednice i garnki, które zalegają w dolnym „hallu" głównego korpusu. Jeśli nie można już w tej chwili unormować wiadomej sytuacji, to chyba można skłonić lokatorów do większego porządku i szacunku dla muzeum, instytucji, którą Hrubieszów będzie się na pewno chwalił.

Za pałacykiem rozpościera się spory ogród, uprawiany obecnie przez lokatorów i inne osoby, aczkolwiek teren ten jest własnością miasta. A przecież jest to wprost wymarzony teren na ewentualne wystawy rzeźby (w okresie letnim), umożliwiający rozwijanie dość nietypowej działalności muzealnej. Należałoby więc odpowiednio zagospodarować ten ogród, co jednak musi być poprzedzone faktycznym przejęciem terenu przez władze kulturalne miasta.

Informuję o tych sprawach, mimo że nie mieszkam w Hrubieszowie, odwiedzając miasto najwyżej raz w roku. Znam jednak dobrze piękne tradycje tej ziemi, związane m.in. z osobą Staszica i Prusa, i rozumiem potrzebę uruchomienia tam muzeum z prawdziwego zdarzenia.

Jan Koniczyński
Warszawa

Tańczący student

CZŁOWIEK się pozuwa w latach i coraz bardziej mu wszystko jedno. Dawniej myślałem: jak ludzie nie chcą kultury, to ich trzeba siłą do kultury gnać. Dziś widzę, że było to szlachetne, ale i naiwne odwrócenie hasła: kiedy słyszę słowo kultura, wówczas wyciągam pistolet. Miałem także pomysły na zmianę infantylnego statutu domów kultury, poprawę pracy punktów bibliotecznych, reorganizację stanu bibljotek i księgarń, o czym nawet usiłowałem pisać. Dziś widzę, że dobrze jest jak jest. Bo jaki skutek z tego pisania? Co najwyżej czyste sumienie autora-utopisty.

W ogóle nie należy nikogo na siłę uszczęśliwiać. Jeśli ktoś osiąga czytelnicze szczęście przy lekturze Orzeszkowej, to nie trzeba go zmuszać do czytania „Ulissesa" Joyce'a, księgi grubaśnej i nudnawej. Nigdzie bowiem nie powiedziano, że szczęście płynące z lektury Joyce'a jest większe niż szczęście osiągane przy lekturze Orzeszkowej. Co najwyżej są to inne rodzaje szczęścia, oba wszelako równie prawomocne, choć nie sądzę, by w tym samym stopniu dostępne jednemu człowiekowi.

Tak więc starzejąc się, skłonny jestem akceptować coraz więcej. Toteż bez trudu na przykład przyszło mi zaakceptować Ogólnopolski Przegląd Studenckich Zespołów Folklorystycznych „Terpsychora 72", który rozgorzał w Lublinie (13—16 IV) w ramach V Festiwalu Kultury Studentów PRL.

Studenci pokazywali, jak umieli, folklor ludowy polski i w ogóle słowiański. Dobrze, iż tak się stało, choć po pół godzinie takiego folkloru taneczno-muzyczno-wokalnego zaczynałem się nudzić, a po następnej pół godzinie — męczyć. Ale dobrze, bo gdyby studenci zechcieli pokazywać folklor własny, mógłbym zacząć się niepokoić.

Oczywiście, absurdalne byłoby jednak wyciąganie jakichś niezbyt krzepiących wniosków na podstawie studenckiego folkloru. Chodzić tu może najwyżej — najwyżej! — o przekorny model tęsknot. A wiadomo, że co człowiek jest w stanie pomyśleć lub powiedzieć o sobie, to zazwyczaj bywa nieadekwatne wobec tego, co człowiek czyni.

Toteż student, uczac się, czyni na przykład folklor ludowy polski i w ogóle słowiański. Czyni od dawna, większość bowiem znanych folklorystycznych zespołów studenckich powstała w jednym z minionych okresów, kiedy jeśli padało słowo „ludowy", było ono z góry pozytywnie zawartościowane, a wszelkie zjawiska, które dało się nim określić, zyskiwały moc czegoś, co trzeba pieczołowicie chronić, dotować, umacniać i pielęgnować. Stowarzyszenie Twórców Ludowych do dziś pielęgnuje młodych stylizatorów poezji ludowej, których swego czasu przyjęło, bo przecież trudno takiego człowieka z dnia na dzień wyrzucić ze Stowarzyszenia i odebrać mu status twórcy, z czym się — jako osobnik dojrzały — muszę zgodzić.

Zatem i studenckim zespołom folklorystycznym wiedzie się dobrze, co wybitniejsze jeżdżą po Europie i Polsce, zbierając laury na rozmaitych festiwalach, rzadziej nieco zaglądając na własne uczelniane podwórka. Asygnuje się pieniążki na wyjazdy, na bogate stroje (ludowe oczywiście), bo nie każdy zespół ma szczęście — tak jak „Słowianki" z UJ — otrzymać garderobę artystyczną od prezydenta Tito czy premiera Ziukowa.

Przegląd lubelski zorganizowała — przepisuję z programu: Rada Okręgowa ZSP w Lublinie, przy współudziale i pomocy — nadal przepisuję z programu: Ministerstwa Kultury i Sztuki, Wydziału Kultury Prezydium WRN w Lublinie, Wydziału Kultury Prezydium MRN w Lublinie, Rady Naczelnej ZSP (Centralnego Ośrodka Metodyki Upowszechniania Kultury). Nic nie mam przeciwko organizatorom z Rady Okręgowej, którzy pocili się i robili, co mogli. Zresztą przeciwko nikomu nic nie mam. Raduję się, że mecenasów i pomocników było wielu, bo i lubelskie instytucje oraz zakłady pracy też się włączyły.

Może najmniejsze zainteresowanie przeglądem wykazali władcy studentów z Rady Naczelnej. O przeglądzie napisano w programie, że jest „jedną z największych imprez konkursowych V Festiwalu Kultury Studentów PRL" (zresztą — piątą z kolei). W związku z przeglądem napisano w okazjonalnym biuletynie o „absolutnym zignorowaniu sprawy przez władze zwierzchnie V Festiwalu Kultury Studentów, RN ZSP, prasę studencką". Swój swego nie uszanował. Ale trudno. Ostatnio Stowarzyszenie Twórców Ludowych podjęło decyzję przyjmowania w swe szeregi kapel i śpiewaków ludowych, studenci mają więc szansę.

Doprawdy, śmieszą mnie niektórzy felietoniści. Maciej Wierzyński niedawno martwił się w „Szpilkach", że sprawa sportu, nie taka przecie najpoważniejsza i najważniejsza dla świata współczesnego, angażuje tyle poważnych autorytetów, bywa rozdmuchiwana jak balon, że Igrzyska Olimpijskie „wyciskają łzy z oczu, angażują rządy, narody i pieniądze". Ale są to zmartwienia małego Kazia, a raczej w tym przypadku małego Maciusia, z których już dawno się wyzwoliłem. Wierzyński bowiem zapomina o propagandowej przydatności sportu, o rozładowywaniu przez wielkie widowiska sportowe napięć społecznych. Niech lepiej ludzie ogniskują swe ambicje wokół międzynarodowych batalii sportowych, niżby mieli niezdrowo politykować na temat międzynarodowych konfliktów zbrojnych. Sport jako opium dla tłumu. Po to on jest, dlatego angażuje rządy i pieniądze.

Po co ludzie młodzi, którzy duchowo pożegnali się z kulturowym środowiskiem wsi, wyżywają się w przeważnie stylizowanym folklorze wiejskim, za cenę przeważnie nie najmniejszych pieniędzy i nakładów? Dlaczego zamarł u nas studencki kabaret satyryczny, a ludzie wolą potańczyć i połpicać w zespole folklorystycznym? Po to istnieją te zespoły, żeby — jak powiedziano w druku reklamowym zespołu UMCS — „kultywować i propagować wśród społeczeństwa piękne tradycje folkloru polskiego". Właśnie, po to je dawno utworzono. I jakoś się mimo wszystko ostają, nowe nawet się rodzą. Mnie tam wsio ryba.

Pociej

felieton z rezerwy

Konno i pieszo

JUŻ tylko 10 dorożek kursuje w Lublinie. Są stare, zniszczone. Dorożkarze siwi, pomarszczeni, w wieku podemerytalnym. Koniom w zęby nie zaglądałem.

Prowadzenie dorożki jest dziś zajęciem kiepsko opłacalnym. Trzymają go się jedynie ci, którzy mają zbyt wiele lat, by rozpoczynać pracę w nowym zawodzie. Dorożki zostały zepchnięte na obrzeża śródmieścia. Służą nie ruchowi pasażerskiemu, lecz przewożeniu większych objętościowo ładunków, nie mieszczących się w taksówkach czy samochodach osobowych. Taksówek bagażowych jest jeszcze mało. Gdy jednak przybędzie ich, wyprą całkowicie ostatnie pojazdy konne.

Ha! Jak to niedawno, gdy dorożki stanowiły — obok autobusów — podstawę komunikacji pasażerskiej w mieście. Jak to niedawno, gdy cieszyliśmy się, że miejsce ich zajmują taksówki. Potem prasa zaczęła domagać się zabronienia wjazdu na główne ulice pojazdom konnym, gdyż tamowały ruch samochodów. Postulaty te zostały spełnione. Obecnie jednak warto zastanowić się, czy sytuacja znów nie wymaga ponownego wpuszczenia dorożek konnych na wszystkie ulice Lublina dostępne dla samochodów.

Występuję tu nie z pozycji obrońcy tradycji, choć przecież przez dziesiątki lat dorożka była nieodłącznie związana z krajobrazem miasta. Chodzi mi o co innego. Dorożka straciła nieodwołalnie swą funkcję komunikacyjną, a lada dzień straci transportową. Jednakże jest niezastąpionym pojazdem do spacerów po mieście. Zabroniono jej — wraz z innymi pojazdami konnymi — wjazdu do śródmieścia. Ale wtedy dorożek było około 150. Dziś jest tylko 10, zaś samochodów przybyło mnóstwo, wkrótce przybędzie jeszcze więcej i wiemy już, że musimy szukać innych sposobów rozładowania tłoku na ulicach. Zresztą w krajach bardziej zmotoryzowanych nie ma żadnych zakazów w stosunku do pojazdów konych, gdyż jest ich tak niewiele, że w stosunku do problemów, które stawia lawina samochodów, one nie znaczą nic. U nas byłoby przedwczesne wpuszczenie na główne ulice wszystkich pojazdów konnych, gdyż jest ich jeszcze za dużo. Zakorkowaliby nam miasto wozacy dostarczający węgiel do domów, a może i rolnicy ze wsi. O ile jednak należy postulować szybsze zastępowanie trakcji konnej do rozwożenia węgla samochodami, o tyle trzeba walczyć o pozostawienie dorożek. Powinny one mieć swe miejsca postoju nie na odległych uliczkach, ale w centrum, na przykład przed nowymi hotelami, „Victorią" i „Unią". Goście przyjeżdżający do nas z innych miejscowości, czy też z innych krajów, zapewne chętnie urządzaliby sobie małe tapatai dla zwiedzania miasta. Myślę, że i zmotoryzowani goście motelu PZMot powitaliby z zadowoleniem możność chwilowej zamiany czterech kółek na cztery kopyta. Nie zapominajmy wreszcie o młodych parach. Dorożką do ślubu to być może większa frajda niż taksówką. Dorożką na spacer niedzielny po mieście — co za radość dla dzieci.

Tych wszystkich przyjemności nie bardzo można sobie wyobrazić w dorożkach, obecnie istniejących. Musiałyby one albo zostać zastąpione nowymi, albo też przejść generalne odnowienie. Rzecz jasna dorożkarze powinni wystąpić nie w kufajkach, lecz w eleganckich liberiach (czy — jeśli komuś ze względów klasowych nie odpowiada to słowo — w uniformach), choćby w takich, w jakich występowali jeszcze 20 lat temu. Myślę, że żaden z dorożkarzy nie ma pieniędzy na takie wydatki. Jeśliby jednak władze miejskie zwolniły dorożkarzy i dorożki jednorazowo od całego, czy też części płaconego przez nich podatku, w zamian za doprowadzenie dorożek i siebie do odpowiedniego wyglądu, zapewne chętnie by z tego skorzystali.

Ostatni dorożkarze jeszcze egzystują i przeprowadzenie sprawy, o której piszę, będzie proste. Od lat nie ma już natomiast w mieście posłańców. Średnie pokolenie mieszkańców Lublina pamięta doskonale pogodnych staruszków w czerwonych rogatywkach, którzy wysiadywali przed hotelem „Europa" i za niewielką opłatą nosili kwiaty, odprowadzali dzieci z przedszkola, wyprowadzali psy na spacer oraz załatwiali zlecającym różne sprawunki. We współczesnym, zapędzonym, zadyszanym świecie, jakże często potrzebna byłaby nam czyjaś pomoc, czyjś wolny czas. Znam niejednego starszego pana na emeryturze, który bezinteresownie pomógł młodszym. Ot, tak, żeby zabić czas, żeby mieć wrażenie, że do czegoś jeszcze jest potrzebny. Gdyby jakaś organizacja czy przedsiębiorstwo podjęło się tego przedsięwzięcia, przyniosłoby ono podwójny pożytek: starszym ludziom, emerytom już, a wciąż jeszcze żywotnym i ruchliwym, dało możność dorobienia sobie paru złotych, zaś mieszkańcom Lublina — nową formę usług. Mógłby zająć się tym np. związek emerytów. Trudno sobie wyobrazić tańsze miejsce pracy. Inwestycja zamykałaby się wydatkiem na czerwone rogatywki i mundury. Zatem ryzyko niewielkie, więc warto spróbować. Tym bardziej, że przepisy — jedna z naszych głównych bolączek narodowych — nie stoją na przeszkodzie.

R. W.

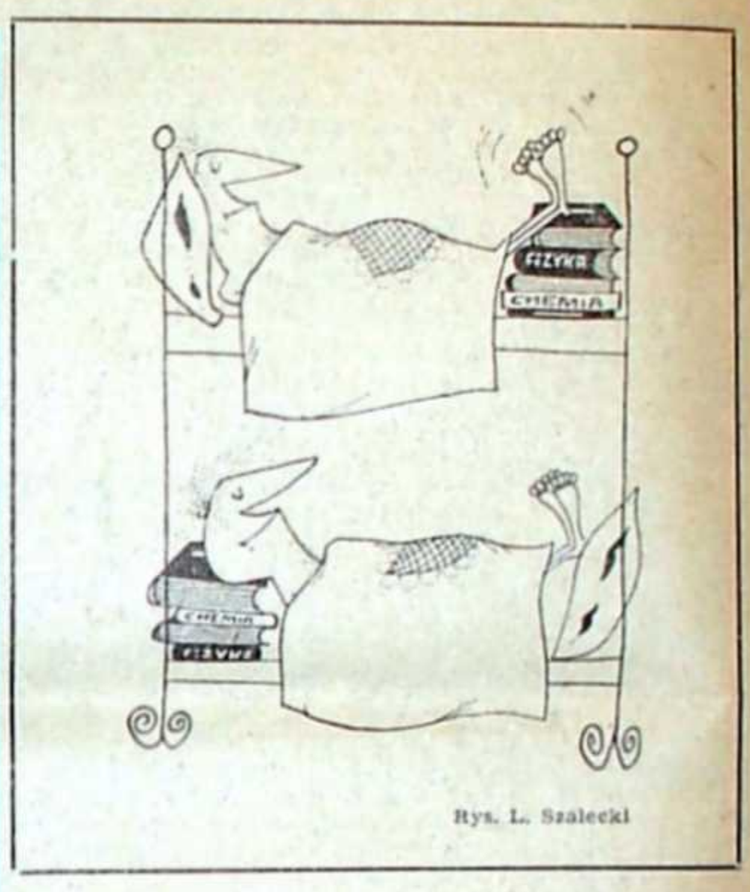

Rys. L. Szalecki

Noty i notki

Podejrzewam, że owym jedynym widzem, któremu leciały iskry z głowy podczas oglądania strip-teasu w lubelskim hotelu „Victoria", był sam pan emerytowany major Anzelm Borkowski, inaczej nie napisałby swojego listu do „Sztandaru Ludu" (nr 94). Moim zdaniem 70-letniemu panu (wiek emerytalny plus 15 lat pisania listów) nie wypada chodzić na takie imprezy, a w dodatku — jako jedynemu mieszkańcowi Lublina — publicznie się do tego przyznawać. Ponadto pan Anzelm — jak sam o sobie pisze: „człowiek w podeszłym wieku" — nie powinien orientować się w cenniku chętnych panienek, urzędujących w naszych restauracjach. No a jeżeli już chodzi, to powinien dojrzeć, że panna (pani?) Samantha zdjęła także i drugie majteczki, co nie oznacza, że już nic na sobie nie miała. Ale gdy komuś lecą iskry z głowy już po ujrzeniu nogi w wysokim rozcięciu sukni...

Zaczynamy przeżywać w Lublinie całkiem niezwykłe kłopoty motoryzacyjne. W loterii fantowej „Kuriera Lubelskiego" główną wygraną stanowił „Fiat 125p". Ale w ciągu półtora miesiąca właściciel szczęśliwego losu jeszcze się nie zgłosił po odbiór wygranego pojazdu. I teraz redakcja „Kuriera" ma kłopot. Bo przejąć do użytku służbowego samochodu nie może, gdyż nie posiada etatu, a sprzedać także nie może, bo ceny na wolnym rynku są niższe od oficjalnych. I co dalej — nikt nie wie.

Przez cały tydzień w obu naszych dziennikach ukazywało się następujące ogłoszenie: „Zlecę plastykowi urządzenie mieszkania Zgłoszenia..." Czyżby nasi plastycy mieli już tyle bardziej popłatnych chałturek do wykonania?

Trudno powiedzieć, aby niektórzy koledzy (koleżanki) z Rozgłośni Lubelskiej PR odnosili się z galanterią do języka polskiego. W Lubelskiej Witrynie Radiowej w dniu 22 kwietnia pani, rejestrująca telefony solenizantów, trzykrotnie pytała, na jakiej ulicy panowie ci mieszkają. W audycji „Naszym zdaniem" (19 kwietnia) usłyszeliśmy, że „schorzenia serca wysunęły się na czołówkę chorób", a w Radio Młodych poinformowano nas „o dopływie nowych twarzy do czołówki muzyków".

(JOD)

Odpowiedzi redakcji

R. A. w Warszawie. O tym, co nam Pan przysłał, sądzimy, że niedalekie jest owej „częstochowszczyzny", która rzekomo tylko czasomi Pana absorbuje. W każdym razie trudno nam nie zgodzić się z następującym stwierdzeniem: „A dziewczynie powiem śmiało — coś mi cię na wiosnę mało". Życzymy przeto powodzenia, tym więcej że maj dookoła.

B. K. w Sobolewie. W tej sprawie radzimy zwrócić się bezpośrednio do któregoś z licznych przecież w Polsce wydawnictw. Warszawę całą ma Pan najbliżej.

W. P. w Lublinie. Ambicji literackich Pan nie miał — wedle tego, co zostało napisane w liście. Sprawy przedstawione są na ogół w naszym kraju — znane — to też Pan stwierdza. Jaki zatem zysk moglibyśmy mieć z publikowania tych okropności? Tym więcej, że relacja ogranicza się jedynie do zewnętrznych drastycznych faktów, pomijając zupełnie motywacje społeczne i psychologiczne. Wygląda to w sumie na niezbyt udolne tłumaczenie z jakiegoś brukowego zachodniego magazynu. Szkoda, że się Pan do tego bezpośrednio nie przyznał, przynajmniej sprawa byłaby jasna. Tak czy owak — nie skorzystamy.

„Eska-63". Nie jest źle, proszę Pana. To Pańskie „mini-nie wiem co" zbliża się do tzw. skazu, czyli formy literackiej udającej potoczny monolog mówiony, wygłaszany zazwyczaj przez człowieka prostego. Czasem na tej drodze można osiągnąć kapitalne efekty artystyczne — jak chociażby Babel, którego radzimy czytać. Oczywiście do Babla jeszcze Panu strasznie daleko, ale tekst zgrabnie zrobiony. Trzeba, żeby Pan pomyślał nad pogłębieniem psychologicznym mówiącej postaci, z jej monologu musi wyzierać jakaś znacznie bardziej dramatyczna ludzka sprawa. Prosimy nie tracić kontaktu z nami i przesłać jeszcze jakieś teksty, powołując się na niniejszą odpowiedź.

„Maturzystka LO z Lublina". Kiedy zdasz już maturę — będziesz miała więcej czasu, wtedy może i list będzie czytelniejszy i lepsza sposobność porozmawiania o poezji. Czytelne fragmenty utworów nie zdradzają talentu poetyckiego. Życzymy pomyślnego wyniku egzaminów.

W. J. Z. w Krakowie. Postaramy się wybrać coś do publikacji. Akceptację naszą zyskały: „Erotyk", „Pijąc piwo", „Święty Antoni Beskidzki". Resztą tekstów może Pan dysponować wedle własnego uznania.

W. A. Ch. w Kielcach, P. B. w Poznaniu, K. L. w Toruniu, K. K-M. w Warszawie, R. A. w Opolu, T. S. w Głogówku, „J. Ze." w Lublinie, P. K. w Sokołowie Podlaskim, M. W. w Warszawie, A. P. w Lublinie — teksty nie zyskały naszej akceptacji.

POSTE RESTANTE

SMAK MIŁOŚCI I ŁEZ

Tego jeszcze nie było w naszym niezależnym organie. Serial, bo na serialu dziś moda. Powieść, którą po skróceniu drukujemy w odcinkach, wygląda na autentyczny folklor młodzieżowy, należy bowiem podejrzewać raczej zbiorowy akt twórczy, a tekst krąży w ręcznych odpisach głównie między dziewczętami w wieku szkolnym. Tytuł dzieła — „Smak miłości i łez". Dopisek — „Autor nieznany, życie współczesne". W czasach, kiedy oficjalna młoda proza pławi się w okrutnościach perwersyjnej miłości, nasza młódź kultywuje cudownie liryczne i serdeczne wzorce uczucia, łagodnego, prostego i nieśmiertelnego.

Pan Grodzki podejrzewa, iż jego 18-letnia córka, Nina, ma spotkanie nad rzeką ze swoim chłopcem, Mariuszem. Tatuś pożycza więc motocykl i ma zamiar wyśledzić kochającą się parę. Tymczasem młodzi właśnie spotkali się.

(3)

W rogu ogrodu, gdzie w dali nikt nie chodził, czekał Mariusz na Ninę, wpatrzony w ścieżkę prowadzącą w kierunku jej domu. Zaczął się denerwować, aż nagle oczy jego uśmiechnęły się. Pomiędzy starymi kasztanami w dali pojawiła się wysmukła postać Niny. Z każdym ułamkiem sekundy widział ją dokładniej i lepiej. Już widział rzucony cień na twarz. Ubrana była w spodnie i sweterek, spod którego falowały się piersi. Wreszcie stanęła przed nim. Uścisnął podaną mu rękę. Szybko, bez najmniejszego szelestu przeskoczył parkan. Ona wsparła się na jego ramieniu. Dopadli rowerów i nic nie mówiąc, jechali do celu.

Nigdzie nie widać ludzi, nie ma znaku, aby ktoś w ostatnich dniach szedł tą drogą. Tylko w jednym miejscu widniał świeży ślad motoru, lecz niczego się nie domyślali. Mariusz wyciągnął i rozłożył na trawie koc. Nina, zmęczona szaleńczą jazdą, siadła i patrzyła przed siebie. Coś ją niepokoiło. Mariusz, od wczoraj głodny jej ust, chwycił ją w swoje objęcia.

— Mariusz — rzekła.

— Co, skarbie? Co, jedyna?

Całował kolejno włosy okrywające jej policzki, szyję, brodę, a z ust jej pił nektar. Ręce jego oplotły dookoła jej sylwetkę i niby niechcący, pełnięty wiatrem, pochylił się na koc. Głowa jej pochyliła się lekko. Cała postać znalazła się w pozycji leżącej. Ramiona rozwarły się, a niedopięty sweterek rozchylił się i Mariusz ujrzał jej piersi. Prawie nieprzytomny ukrył głowę pod sweterkiem Niny. Ona nie chciała, lecz nie sposób wyrwać się z jego objęć. Głowa jego spoczywała na jej piersi. Patrzył na jej twarz. Oczy Niny były szeroko otwarte i patrzyły w niebo. Nina zapomniała o świecie.

„Moja Nina — myślał — moja, na zawsze moja. Moje są jej usta, jej oczy. Cała Nina jest moja". Nigdy nie chciał jej skrzywdzić, o tym nie myślał, ale teraz musiał nad sobą panować. Ciało Niny chodziło jak fala. Ona sama była nieprzytomna. Objęła go swoimi ramionami.

Nagle oboje poderwali się. Usłyszeli warkot motoru, może na odległość 50 metrów. Nina spojrzała w tym kierunku i krzyknęła z przerażenia. Wydało jej się, że na motorze widziała ojca.

— Nineczko, przecież to niemożliwe — wyszeptał Mariusz. — Gdzie tam twój ojciec. Nikt nie ma prawa nas tu widzieć. — Uspokoił ją, ale sam nie był pewien tego. Poszedł do najbliższych krzaków i aż mu włosy na głowie stanęły. Zobaczył odbite męskie buty. A więc to musiał być ojciec Niny.

„Co teraz będzie? — myślał. — Ja jestem wszystkiemu winien. Ja wkopałem moją Nineczkę, moją najdroższą". Nie wiedział, co jej powiedzieć. Oczy jej, które były przed chwilą nieprzytomne z rozkoszy, patrzyły z lękiem.

— Ojciec widział mnie — powiedziała Nina. — Wypędzą mnie z domu. Będą mieli do mnie żal. — To wszystko męczyło ją. Nie z tego nie rozumiała. Tysiąc myśli przechodziło jej przez głowę, lecz żadna nie usprawiedliwiała jej. „Ucieknę, ucieknę z Miłowe z Mariuszem i nigdy nie pokażę się na oczy. Nie, to będzie najgłupsze wyjście z sytuacji".

— Boże, Boże — szeptała cicho Nina.

Mariusz patrzył na nią bez słowa, na umierającą ze strachu Ninę. Lecz sam nie mógł wykrztusić z siebie słowa. Na widok Niny zapomniał, że jest mężczyzną. Brakło mu męskiej odwagi.

— Nineczko — szeptał Mariusz — co my teraz zrobimy?.

— Mariusz, ja nie chcę żyć, cóż teraz mnie zostało?

Rozumiał ją doskonale. Siedzieli obok siebie, nie mówiąc nic słowa. Ona bała się zarazem i wstydziła. On czuł się największym winowajcą. „Dlaczego prześladuje nas taki pech? — myślał. — Przecież inni koledzy też chodzą z dziewczynkami za miasto".

Wyjął papierosy. Nina drugą ręką pociągnęła papierosa. Do tej pory nie miał czasu jej poczęstować. Dzisiaj nie obraził jej, gdy wypalili po jednym. Nina chciała jeszcze. Patrzył z boku, jak jej usta przyciągnęły papierosa. Na widok jej ust zapomniał o wszystkim, uśmiechnął się i znowu pocałunkami okrył jej czoło.

(Dem.)